Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nr. 37 Niedziela, dnia 9 września 1928 roku Rok IV-ty

TYGODNIK PRAWDA

Cena numeru 40 gr.

Prenumerata z dostawą do domu:
miesięcznie . . 1.35 zł.
kwartalnie . . . 4.— zł.

Konto w P.K.O. № 63.353

ŁÓDŹ — WARSZAWA — POZNAŃ

Sprawy tygodnia

AGENTURY OBCE.

JESTEŚMY ŚWIADKAMI organizowania i prowadzenia przez pewien odłam opozycji roboty tak destrukcyjnej, tak wrogiej państwu, że niepodobna uwierzyć, by jej plan mógł zrodzić się w głowie polskiej. Jeśli mimo to żywioły polskie robotę tę prowadzą, to tłumaczyć trzeba to sobie jakimś obłędem i zacietrzewieniem, jakiemś opętańczem pieniactwem, które zaćmiło umysły tych ludzi.

Mamy na myśli roznieconą na całym froncie opozycji t. zw. „narodowej" i na pewnej części frontu opozycji chłopskiej *kampanję antymasońską*. Sposób prowadzenia tej kampanji nie pozostawia żadnych wątpliwości co do tego, przeciw komu zwraca się ta akcja i do jakiego celu w nadziejach organizatorów i inspiratorów walka ta powinna doprowadzić.

Nie o masonerję tu chodzi tej myśli, nieprzejednanie wrogiej naszej niezależnej państwowości, która kryje się za kulisami owej nikczemnej akcji, lecz o to, *aby nie dopuścić, by Polska spokojnie i szczęśliwie przeszła przez ostatni etap procesu utrwalania się i krystalizowania swej egzystencji państwowej*, przez etap najważniejszy: przez przygotowywane dzieło reformy ustroju.

* * *

Z MASONERJI nieraz już próbowano u nas uczynić sobie broń do walki politycznej. A zwłaszcza od wypadków majowych przy każdej ważniejszej okazji operują pewne grurpy polityczne zarzutem masonerji w walce z rządem. Liczą one na to, że podejrzenie o przynależność do masonerji, o której tłum ma jakieś fantastyczne wyobrażenia, odstręczy masy od popierania podejrzanych. Zarzutem masonerji operowano zwłaszcza *podczas ostatniej kampanji wyborczej*, pragnąc odstręczyć od „jedynki" masy chłopskie i religijne elementy miejskie. Ale dotychczas rzekomy ten atut opozycyjny wykorzystywany był nieudolnie, znać było, że robota spoczywa w rękach domorosłych strategów. Chodziło przecież o sprawę czysto wewnętrzną, o wybory do sejmu, co do którego roli i znaczenia nikt nie miał najmniejszych złudzeń. Agentury obce nie miały powodu bezpośrednio interesować się akcją wyborczą, a może tylko nie chciały przedwcześnie zdradzić swoich zamiarów. Obserwowały jedak bardzo uważnie — jak się teraz okazuje — przebieg walki wyborczej **i bardzo drobiazgowo badały wartość przyciągającą haseł, które przeciw rządowi wygrywano.**

* * *

OBECNIE JESTEŚMY — według powszechnego mniemania — w przededniu decydujących i radykalnych zmian ustrojowych. I również według powszechnego mniemania zmiany te pójdą w tym kierunku, aby jaknajskuteczniej zamknąć te wszystkie kanały, którymi przedostawały się obce, wrogie nam częstokroć, wpływy do maszynerji naszej wewnętrznej i zewnętrznej polityki. Zwłaszcza zaś położony ma być szczególny nacisk na tem, aby partje polityczne, które jako takie **są czynnikami odpowiedzialnymi i niekontrolowanymi**, nie mogły nadal wywierać tak decydującego wpływu na wykonawczą działalność rządu, jak to było dawniej. Wpływy bowiem partyjne bardzo często mogą się stać także dobrym przewodnikiem wpływów obcych — tak jak w strumieniu czystego nawet i świeżego powietrza łatwo mogą przenosić się z miejsca na miejsce lotne zarazki niebezpiecznych chorób.

Plany takie nie mogą być obojętne dla agentur obcych. Polska silna, krocząca zdecydowanie ku swojej mocarstwowej przyszłości i wyzyskująca w tym celu wszystkie wartości i twórcze siły, drzemiące w jej organizmie społecznym i gospodarczym, stanowi dla niejednego bliższego i dalszego sąsiada groźne niebezpieczeństwo. Jest bowiem jakby „tajemniczym nieznajomym", który oto naraz pojawił się na arenie międzynarodowej, a widać po nim, że posiada wiele danych, aby stać się niewygodnym dla starych „gwiazd", które dotąd mniej lub więcej wszechwładnie na tej arenie królowały. Od tego ma się swoje agentury, aby wypatrzyły wszystkie słabe strony niepokojącego nowicjusza i wypenetrowały, w którą w danym razie z najlepszym skutkiem uderzyć.

Polska miała tych słabych stron bardzo wiele i bito ją w nie bardzo umiejętnie, gdy chodziło o to, aby nie dopuścić, iżby rozwinąć mogła całą swoją energję i wszystkie swoje siły, gdy należało zapobiec nawet temu, by tych swoich sił i swoich możliwości przedwcześnie nie poznała. Wystarczy przypomnieć historję naszej wojny z bolszewikami, zaprzepaszczenie praw naszych do portu gdańskiego, historję Spa, defetystyczną propagandę, mającą na celu pomniejszenie naszego zwycięstwa nad armją bolszewicką, by jasno dostrzec konsekwentny wysiłek obcych agentur, zmierzający do zabicia i zgniecenia każdego objawu naszej narodowej energji, do utrzymania w nas niewiary w własne siły, chronicznego stanu fermentu i niepewności.

A tu naraz zjawia się człowiek, który dostrzegł swoim bystrym wzrokiem wszystkie te słabe strony i zabrał się do tego, by je osłonić i opatrzyć przeciw atakom, człowiek, który twierdzi, że Polska swoją rolę zna sama i sama ją odegrać potrafi, człowiek, który rzuca hasła mocarstwowe i budzi w społeczeństwie ambicje mocarstwowe, człowiek, który nie czerpie z niepowodzeń niewiary, lecz otuchy i ufności szuka w każdym objawie powodzenia i w każdem zwycięstwie, człowiek, który twierdzi, że Polska to wielka rzecz i do wielkich rzeczy powołana.

Agentury obce przycichły, pochowały się. Ale tem skrzętniej zaczęły obserwować i wypatrywać, jakby tu tego człowieka odgrodzić od narodu, jakby pomiędzy nim a społeczeństwem wykopać przepaść nieufności. Okres przedwyborczy dostarczył bardzo wiele obserwacyj. Wynikało z nich jednak niezbicie, że niema hasła, które skutecznie możnaby temu człowiekowi przeciwstawić. Bo rzecież prawie dla wszystkich haseł szukano oparcia w nim, wszystkie hasła jego nazwiskiem legitymowano. Zostało to nawet urzędownie stwierdzone przez Ministra Spraw Wewnętrznych na jednem z posiedzeń komisji. Niejedno stronnictwo, stające do wyborów, starało się wyjaśnić swoim zwolennikom, że hasła jego i programy są najzupełniej zgodne z ideologją Marszałka. Okazało się przeto aż nadto wyraźnie, że żaden program nie ostoi się wobec Piłsudskiego i że byłoby bezcelowem wszczynać z nim walkę polityczną, gdyż nikt nie uwierzy, by Piłsudski chciał czegoś, co mogłoby być szkodliwe, niebezpieczne lub krzywdzące dla jakiejś klasy społecznej lub jakiegoś odłamu społeczeństwa, by żądał od kogoś jakiejś ofiary na rzecz czyjejś prywaty.

Na jakie takie powodzenie mogłaby liczyć tvlko walka, która potrafiłaby po mistrzowsku posługiwać się oszczerstwami i insynuacjami, zdolnymi **sfanatyzować masy. Do fanatyzowania mas nie nadają się żadne inne hasła tak dobrze jak hasła religijne.**

Agentury obce doszły do wniosku, że Polska jest terenem, nadającym się do rozpętania na nim fanatyzmu religijnego. Niewiadomo na czem, na jakich obserwacjach, opierają ten swój wniosek, któregoby żaden Polak nie zaryzykował, dosyć na tem, że agentury obce do takiego wniosku doszły.

* * *

I ZACZĘŁO SIĘ fanatyzowanie mas polskiego społeczeństwa. Każdy krok rządu przedstawia się od szeregu miesięcy jako wymierzony przeciw religji i kościołowi, pod mikroskopem bada się każde słowo w prasie rząd popierającej, i wyławia się każde zdanie, każde niemal słowo, do którego możnaby doczepić jakąś potwarz i jakiś zarzut wrogich dla kościoła i religji tendencyj ze strony rządu i jego politycznych zwolenników.

Nielada gratkę stanowił dla obcego reżysera tej przez polskie obozy polityczne prowadzonej nieodpowiedzialnej kampanji fakt, że senator Strug w czasie pogrzebu jednego ze swoich przyjaciół, pożegnał go w przemówieniu, wygłoszonem nad trumną, imieniem polskiej loży masońskiej. Od kilku lat wiadomem jest, że masonerja ma swoją lożę w Warszawie i że na czele tej loży stoi p. Strug. Wzmianki o tem były publikowane w prasie masońskiej i w wydawnictwach wolnomularskich, dostępnych dla każdego. Z tych źródeł przedrukowywały to niejednokrotnie pisma polskie, ale nigdy z tego powodu nie wszczynano zbyt wielkiego alarmu. Tym razem jednak polska loża wolnomularska przypomniała się publiczności w momencie, gdy agentury obce straciły już nadzieję, że uda im się znaleźć taki kamień, który możnaby skutecznie rzucić Piłsudskiemu pod nogi i w zdenerwowaniu chwytają nawet błoto inwektywy i insynuacji, by — gdy obalić już nie można — przynajmniej obryzgać go i jego obóz. Zaczęła się więc kampanja antymasońska i miotanie pod adresem rządu oskarżeń, że ochrania masonerję i sprzyja jej, że pod jego bokiem masonerja otwarcie już i bez maski podejmuje swoją kampanję przeciw kościołowi. Tym razem kampanja jest doskonale zorganizowana i objęła cały front od inteligencji poprzez mieszczaństwo aż do ciemnych mas ludności wiejskiej, której wmawia się nieledwie, że lada dzień zacznie się w Polsce zamykanie kościołów i prześladowanie wiernych.

Rząd, znając źródło i motywy tej kampanji usiłuje się często przeciwstawić jej przez stosowanie represyj. Wystąpienia takie podaje się oczywiście natychmiast jako nowe dowody współdziałania rządu z masonerją. Represje zaś są w wielu wypadkach nieuniknione, gdyż żaden rząd na świecie nie tolerowałby w swojem państwie takich orgij agentur obcych, zwłaszcza w przededniu posunięć politycznych bardzo doniosłej wagi, których pomyślne rezultaty w dużej mierze uzależnione są od tego, czy społeczeńswo odniesie do nich spokojnie i z pełnem zaufaniem.

* * *

AGENTURY OBCE w swej niszczycielskiej działalności posługują się w mistrzowski sposób naszemi wadami narodowemi, naszą skłonnością do waśni i pieniactwa. Pragną sfanatyzować słabo uświadomione masy, by w pewnym momencie poderwać je „do czynu" — jak kilka dni temu na zebraniu „antymasońskiem" oświadczył jeden z duchownych warszawskich. Przypomina się **rok 1848-my,** gdy to również agentury obce poderwały „do czynu" sfanatyzowane masy chłopskie w Galicji, aby uniemożliwić odruch, zmierzający do odzyskania wolności.

Tym razem jednak obce agentury, widocznie pod wpływem zdenerwowania, **postawiły na złego konia.** Na masonerji do zamierzonego celu nie dojadą. Masy ludności polskiej przy całej swej religijności odznaczają się trzeźwym rozsądkiem, przysłowiowym chłopskim rozumem. A ten rozum

wobec tej tak niesłychanie gwałtownej kampanji każe im przedewszystkiem postawić sobie pytanie: Czy Polska poto odzyskała niepodległość, aby stawać w obronie kościoła przed masonerją i sektami, czy państwo polskie niema przed sobą własnych swoich problemów i zagadnień?

W tem właśnie, że na tak złego konia postawiono, trzeba dopatrywać się dowodu że cała ta akcja, dążąca do wzniecenia fanatyzmu religijnego w masach społeczeństwa polskiego i utrudnienia w ten sposób przeprowadzenia reform, zamierzonych przez rząd, inspirowana jest przez agentury obce.

* * *

STOSUNKI Z NIEMCAMI.

DOWIADUJEMY SIĘ, że rząd polski zawarł układ z rządem niemieckim w sprawie sposobu wyrównania należności, wynikających z nieopłaconych dotąd weksli przedwojennych. Układ ustanawia, że opłata dokonywana być winna według zasad, obowiązujących w kraju dłużnika. Układ ten został podobno zawarty i podpisany, podlega jednak jeszcze ratyfikacji przez izby ustawodawcze.

Jak z treści układu wynika dłużników polskich obowiązywać będzie stopa, ustanowiona przez nasze prawo waloryzacyjne, powszechnie znane pod nazwą lex Zoll. A jakie prawo analogiczne obowiązywałoby wobec tego dłużników niemieckich wobec wierzycieli polskich? Otóż bardzo jest ciekawe, że żadne, bo w Niemczech prawo waloryzacyjne długów wekslowych nie dotyczy wogóle.

Gdy dodać do tego jeszcze, że po stronie polskiej niema prawdopodobnie wcale wierzycieli wekslowych wobec dłużników niemieckich, lub jeżeli są, to tylko odosobnieni, — to nietrudno orzec, że wzajemność, o której rzekomo jest mowa w układzie, jest czysto teoretyczna, bo warunki umowy obowiązywać będą jedną tylko stronę, mianowicie polską.

Nie można, ani nie należy winić rządu naszego za to, że dla uporządkowania stosunków datujących z okresu przedwojennego ustanowił pewne zasady jasno określone i wyłączające spory i procesy. Nie mogą też mieć pretensji dłużnicy o to, że każe im się długi dawne płacić, bo to jest ich obowiązkiem. Gdy jednak wierzycielami w tym wypadku są obywatele państwa, które z pogwałceniem wszelkich praw prowadziło w czasie okupacji rabunek mienia polskiego i które uchyla się od wszelkiego obowiązku zapłacenia za zabrane dobra — nawet w razie istnienia obowiązujących wyroków Trybunału Rozjemczego — to trudno jest oprzeć się zdziwieniu, dlaczego układ podobny został zawarty i pytaniu, jakie korzyści zostały przez to osiągnięte dla gospodarstwa polskiego.

Jednostki, uważające się za dobrze poinformowane, twierdzą, iż celem układu tego było dobre usposobienie rządu niemieckiego do drugiego układu, mającego załatwić sprawę wzajemnego rozrachunku między obudwu

CZYNNIKI POLITYKI PAŃSTWOWEJ

SPRAWY SPOŁECZNE — GOSPODARCZE — POLITYKA WEWNĘTRZNA I ZAGRANICZNA

państwami z tytułu należności z czasu wojny i okresu powojennego.

Jeżeli tak jest istotnie, to pokrzywdzone przez okupantów sfery gospodarcze mają prawo domagać się tego, by rozrachunek ten nie został dokonany ponad ich głowami, gdyż one są w pierwszym rzędzie zainteresowane zarówno w sprawiedliwym wymiarze roszczeń polskich do skarbu niemieckiego, jak i w ustaleniu trybu, w jakim za doznane pokrzywdzenia zostaną odszkodowane na wypadek, gdyby ze strony Niemiec odszkodowanie to dokonane zostało nie pieniężnie, lecz w drodze rozrachunku.

Pamięć o zwróconych na podstawie układu wiesbadeńskiego maszynach, motorach, obrabiarkach i częściach, które nie powróciły jednak do pierwotnych właścicieli i zostały w drodze sprzedaży spieniężone na korzyść skarbu, nie wygasła jeszcze w pokrzywdzonych. Nie należy jednak wątpić o tem, że rząd obecny nie zastosuje metod podobnych i o ile naprawdę układ podobny zawrze, to uczyni to w porozumieniu z bezpośrednio zainteresowanymi i tylko w charakterze inkasenta ich należności.

* * *

MATURY I UCZELNIE WYŻSZE.

PISALIŚMY w swoim czasie o utrapieniu, jakie dla młodych umysłów, zdrowia, nerwów uczni szkół średnich stanowią męczarnie maturalne. Daliśmy wówczas wyraz poglądowi, iż zastąpienie matur wyjściowych przez egzaminy specjalne wstępne w uczelniach wyższych byłoby dla licznych względów w najwyższym stopniu wskazane. Mieliśmy na myśli świadectwo o ukończeniu szkoły średniej, jako dokument odrębny od karty imatrykulacyjnej.

Sądzimy jednak, że dopóki ta zasadnicza zmiana systemu wprowadzona nie została, to świadectwa dojrzałości, zdobywane przez uczącą się młodzież kosztem największego wysiłku umysłowego i duchowego i za cenę wycieńczenia fizycznego i nerwowego, powinny bez zastrzeżeń otwierać jej podwoje wyższych uczelni.

Tak jednak nie jest i uniwersytety wymagają egzaminów kwalifikacyjnych, politechniki egzaminów konkursowych, a Uniwersytet Poznański dopuszcza na wydział prawny tylko absolwentów gimnazjów klasycznych.

Co to znaczy?

Rozumiemy doskonale motywy: nadmiar napływu młodzieży do uniwersytetów, nie będących w stanie pomieścić ani dać nauki zgłaszającym się nieprzebranym rzeszom; zanik wykształcenia fachowego dla zawodów praktycznych w przemyśle, bankowości i handlu; nadprodukcja lekarzy, prawników, inżynierów i techników w stosunku do istotnej potrzeby i możności zatrudnienia.

Jednakże, rozumiejąc to i podzielając bez zastrzeżeń pogląd, iż pęd do wykształcenia wyższego winien być miarkowany, a wykształcenie fachowe i zawodowe w miarę możności zalecane i popierane — nie możemy pogodzić się z tem, że może to być dokonywane przez nagłe wprowadzanie zmian i ograniczeń, żadnym przepisem prawa, o ile nam wiadomo, nie ustanowione.

Jeżeli młodzież poddawana być ma egzaminom kwalifikacyjnym i konkursowym — to niechże zaoszczędzone jej zostaną okropne utrapienia egzaminów maturalnych. Świadomość, że trzeba będzie zdać egzamin przed wstąpieniem do uniwersytetu lub na politechnikę, będzie zawsze dostatecznym bodźcem do sumiennej nauki w szkole średniej dla każdego aspiranta do wyższego wykształcenia. Pocóż więc jeszcze te emocje przed dopuszczeniem do egzaminów, przed egzaminami i podczas egzaminów — emocje, bezwzględnie rujnujące młode, nieodporne organizmy? Zresztą cena świadectwa o należytem ukończeniu szkoły nie powinna być przytem wcale zbytnio obniżona. I tego również świadectwa, lubo nie otwierającego wstępu do uczelni wyższej, winni nie otrzymywać uczniowie leniwi, opieszali i tępi. Ale przecie jednak charakter egzaminów takich byłby jednak zupełnie inny, i okoliczności towarzyszące byłyby niepodobne do dotychczasowych, gdyby matura przestała mieć to losowe znaczenie, jakie miała dotąd. A jak się okazuje obecnie, miała je wbrew prawdzie, skoro uniwersytety ustanowiły nowe egzaminy.

Co do ograniczenia dostępu na wydział prawny Uniwersytetu Poznańskiego tylko do absolwentów gimnazjów o typie klasycznym, to i ono wydaje się nietylko merytorycznie nieuzasadnionem, ale i formalnie niewłaściwem, skoro nie było stosowane dotąd i adepci nauk prawnych przed wstąpieniem do szkoły średniej nie byli o tem uprzedzeni. Ograniczenie to może zatem nietylko dotkliwie wykoleić niejednego czującego odpowiednie powołanie, a skazanego właśnie na uczelnię poznańską, młodzieńca, ale również zamyka jej podwoje dla przytłaczającej większości absolwentów szkół z b. Królestwa, w którem gimnazja klasyczne policzyć się dają na palcach jednej ręki.

Najlepszą w świecie straż ogniową posiada Łódź

W Turynie odbyły się w tych dniach międzynarodowe popisy ćwiczebne straży ogniowych. Na popisy te wysłały wszystkie państwa swoje reprezentacyjne drużyny, jaknajstaranniej dobrane i wyposażone. Były tam więc świetne drużyny amerykańskie, niemieckie, szwajcarskie, francuskie, a nawet japońskie, by walczyć o palmę pierwszeństwa w sprawności w walce z żywiołem ognia. Program popisów ustalony został przez specjalny komitet, złożony z najlepszych i najbardziej doświadczonych znawców i weteranów walki z ogniem, skutkiem czego ubiegające się o zaszczyt pierwszeństwa drużyny miały do wykonania nadwyraz trudne zadania.

Polska powierzyła wystawienie drużyny reprezentacyjnej Łódzkiej Ochotniczej Straży Ogniowej, cieszącej się w kraju zasłużoną sławą najbogatszego doświadczenia pożarniczego i rozgłosem świetnej organizacji i wyszkolenia. Okazało się, że wybór był trafny. Drużyna, wystawiona przez komendę Łódzkiej Straży Ochotniczej, pobiła w Turynie wszystkie drużyny w liczbie trzydziestu kilku i bez żadnych zastrzeżeń, bez żadnych losowań i wątpliwości, zdobyła **pierwszą nagrodę oraz sławę najlepszej drużyny strażackiej w świecie.**

Jest to sukces, który zasługuje na uwagę i uznanie. Trzeba bowiem pamiętać o tem, że **Straż Ogniowa Łódzka jest Strażą Ochotniczą**, utrzymywaną głównie przez ofiarność łódzkiego przemysłu i łódzkiego społeczeństwa. Na czele Łódzkiej Straży stoi Dr. Alfred Grohman, człowiek, który — mimo, iż jest członkiem rodziny wielkoprzemysłowej — zdobył sobie w tem robotniczem mieście taką popularność, jakiej nikt jeszcze tam nie posiadał i prawdopodobnie nie rychło ktoś posiądzie. Komendantami poszczególnych oddziałów straży, których jest kilkanaście, są prawie wyłącznie właściciele wielkich firm przemysłowych, którzy też przeważnie z własnych środków łożą poważne sumy na utrzymanie tych oddziałów i należyty ich ekwipunek. Szeregi strażackie rekrutują się z robotników fabrycznych.

Łódzka Ochotnicza Straż Ogniowa potrafiła uchronić się od wszelkich wpływów partyjnych, potrafiła zachować swoją niezależność od rozpolitykowanego samorządu i niedopuścić do swoich szeregów elementów, szukających przy pomocy legitymacji i protekcji partyjnej synekur. Dzięki temu organizacja straży i dyscyplina w jej szeregach jest wzorowa i chyba jedyna w Polsce, która posiada w większych miastach prawie wyłącznie straże miejskie, utrzymywane przez samorządy.

Zwycięstwo drużyny łódzkiej jest zwycięstwem dobrej organizacji, wzorowej dyscypliny i sumiennego i poważnego traktowania swoich obowiązków przez kierownictwo. Zwycięstwo to jest także wspaniałym dowodem, że robotnik polski pod światłem kierownictwem i w atmosferze zdrowej karności zdolny jest do sukcesów, zdumiewających cały świat.

Kryzys ekonomiczny żydostwa w Polsce

Swego czasu zamieściliśmy w „Prawdzie" kilka artykułów, poświęconych kwestji żydowskiej w Polsce. W artykułach tych stwierdziliśmy i umotywowaliśmy, iż masy żydowskie, zaludniające wielkomiejskie dzielnice żydowskie i całe miasta i miasteczka prowincjonalne, stoją w przededniu *katastrofalnego kryzysu ekonomicznego* i że ku kryzysowi temu idą bezbronne, gdyż środki i sposoby, obrane przez polityków żydowskich, zamiast oddalać kryzys i uprzedzać jego przewidywane następstwa — przyśpieszają go i zaostrzają skutki, jakie za sobą pociągnie.

Dzisiaj już nawet politycy żydowscy dostrzegają pierwsze oznaki zbliżającej się klęski ekonomicznej żydostwa. Ale ciągle jeszcze *w karygodny wprost sposób* usiłują nadać zarysowującym się już bardzo wyraźnie przyczynom tego kryzysu charakter polityczny i tumanią masy żydowskie, że jest w mocy rządu przyczyny te usunąć.

W jednym z ostatnich numerów sjonistycznego „Nowego Dziennika", wychodzącego w Krakowie znajdujemy artykuł *D-ra Rotestreicha,* jednego z czołowych polityków obozu sjonistycznego w Polsce, zatytułowany „Zubożenie żydostwa polskiego wzmaga się!" Dr. Rotenstreich wywodzi, że przyczyną postępującej pauperyzacji mas żydowskich w Polsce jest polityka ekonomiczna rządu, zmierzająca do standaryzacji towarów i racjonalizacji metod handlowych oraz rozwoju spółdzielczości rzekomo celem wyeliminowania z obrotów handlowych pośrednictwa kupieckiego. Dr. Rotenstreich charakteryzuje te dążenia rządu jako objaw *antysemityzmu gospodarczego* i dążenie do zniszczenia kupiectwa żydowskiego. A ponieważ większość ludności żydowskiej żyje z handlu — zatem cały ten ruch standaryzacyjny i racjonalizacyjny jest jakimś nowym rodzajem pogromu. Wierzy on, że jeśli wszystko pozostanie po dawnemu, jeżeli w dodatku rząd wyasygnuje fundusze na finansowanie handlu takiego, jakim on jest obecnie, to kryzys ekonomiczny ludności żydowskiej zostanie zażegnany.

Dr. Rotenstreich pragnąłby zatrzymać naturalny rozwój i naturalny postęp życia gospodarczego. Pragnąłby go zatrzymać tam, gdzie już raz zatrzymany został przez ortodoksyjne żydostwo w zacofanych kulturalnie państwach Europy wschodniej i Bałkanu, t. j. w średniowieczu. Jest to jakaś *desperacka gra na dobę zwłoki,* bo gdyby nawet rząd wysłuchał rad i błagań p. Rotenstreicha, to tylko bardzo nieznacznie, a kto wie czy wogóle, opóźniłaby się *klęska, która na ludność żydowską w Polsce spaść musi z winy jej politycznych opiekunów*, którzy zamiast pracować nad podniesieniem kulturalnem swoich współwyznawców, uroili sobie, że uda im się zbudować państwo żydowskie — jeśli już nie w Palestynie — to już chyba z całą pewnością w Polsce.

Zajęci polityką, opiekunowie żydostwa, prześlepili, że w międzyczasie *czas przyniósł z sobą kolosalne zmiany*, że Polska wyzwoliła się z pod wpływów dawnej Rosji, a więc z pod najgorszego rodzaju *wpływów wschodnich*, że zwróciła się ku zachodowi i że tem samem zerwane zostały wszelkie tamy, które powstrzymywały *naturalny, zachodni kierunek dążności rozwojowych narodu polskiego*.

Prześlepili politycy żydowscy przedewszystkiem to, że jeśli nawet gdzieniegdzie pozostały jeszcze ślady wpływów wschodnich, których działaniu poddane było przez dziesiątki lat życie narodu polskiego, to najmniej pozostało ich w życiu gospodarczem, które pierwsze zwekslowało na tory zachodnie i obecnie *w żywiołowym niemal pędzie stara się nadrobić stracony czas.* W tych warunkach masy żydowskie musiały się znaleźć w sytuacji katastrofalnie krytycznej. Psychiką swoją tkwią w dawnej wschodniej atmosferze i nie znajdują w sobie zrozumienia dla metod i upodobań zachodnich. Nici stosunków gospodarczych, jakie łączyły społeczeństwo polskie z żydowskiem zostały dzięki temu zerwane. Konsument polski instynktownie szuka w handlu metod i zwyczajów zachodnich i *omija wschodni kramik żydowski,* który przypomina mu nietylko niewolę polityczną, ale i duchową. Tamy zostały zerwane — pęd przeto jest żywiołowy. Między innymi odczuwamy to na naszym bilansie handlowym. Konsument polski pragnie widzieć ten zachód, za którym tęsknił, przynajmniej w opakowaniu.

Jest olbrzymią zasługą rządu, że rozumie i zdaje sobie sprawę z tego żywiołowego pędu i stara się dać mu wszelkie ułatwienia. Szkoda tylko, że dotychczas czyni to zbyt jednostronnie, troszcząc się tylko o to, co z Polski zagranicę wychodzi. Sądzimy jednak, że czyni to dlatego, aby nie przykładać ręki do przyśpieszenia katastrofy ekonomicznej żydostwa. Gdyby bowiem handel otrzymał te wszystkie kredyty, o jakie woła p. Rotenstreich — to -- ponieważ środki te musiałyby być dostępne także i dla kupiectwa polskiego—kupiectwo żydowskie w olbrzymiej *swej większości jużby nie istniało.* Bowiem, gdy kupiec polski jest z psychiki swojej, tradycji i aspiracyj kulturalnych, człowiekiem zachodu — kupiec żydowski przeważnie jest człowiekiem wschodu. Pierwszy zużytkowałby otrzymane środki na dostosowanie się do zmienionych wymagań konsumenta — drugi zjadłby je lub zmarnował na eksperymenty i błędne poszukiwania.

Przyczyny pauperyzacji żydostwa w Polsce, będącej tylko *wstępem do katastrofy ekonomicznej tej masy*, tkwią w tem, że z chwilą powstania Państwa Polskiego zerwane zostały nici stosunków gospodarczych pomiędzy Żydami a Polakami. Pierwsi zostali w miejscu, drudzy runęli ławą naprzód ku zachodowi. Nici musiały pęknąć. I na to niema żadnej innej rady oprócz tej jednej, że *politycy żydowscy powinni natychmiast pożegnać się na dłuższy czas z wybujałemi aspiracjami politycznemi, zakasać rękawy i zabrać się do europeizacji ghetta i nastawiania psychiki żydowskiej na tory zachodnie*, aby dopędzić społeczeństwo polskie i upodobnić się do niego. Wtedy tylko zerwane nici będą mogły być na nowo nawiązane. Jest to prawda gorzka i perspektywa mało pociągająca zmanierowanych, rozleniwionych i rozpyskowanych apostołów sjonizmu, ale tak jest i rady na to niema.

Stanisław Horwat.

MONARCHIŚCI

Poniżej zamieszczamy wysoce oryginalne refleksje znanego pisarza, Franciszka Blei'a, na temat ruchu monarchistycznego w Niemczech.

N i e m a m o n a r c h i s t ó w. Ci, którzy się za takich uważają i tak się nazywają, tkwią w zasadniczem nieporozumieniu i błędzie zarówno co do siebie jak i co do tego, czem jest monarcha. W chwili, gdy kilkaset tysięcy osób w jakimś kraju łączy się w stronnictwo, którego celem jest wprowadzenie lub przywrócenie monarchji w kraju, który już nie jest monarchicznie rządzony, ludzie ci nietylko, że nie zrozumieli zasady monarchizmu, ale w dodatku zasadę tę odrzucili i zdradzili.

M o n a r c h a j e s t. Albo przez uzurpację jak Napoleonidowie, albo na zasadzie dziedziczenia jak Hohenzollernowie lub Habsburgowie. Monarcha wprowadzony na tron przez jakąś partję, monarcha, dla którego partja odzyskała tron, nie jest już monarchą. Jest tylko pełnomocnikiem partji, wobec której zaciągnął zobowiązania. Partja posadziła go na tronie, partja może go obalić, partja może zwrócić się przeciw niemu.

Idea monarchiczna nie dopuszcza zaś, aby monarcha był przedmiotem targów i antagonizmów partyjnych, gdyż w ten sposób musiałby być mniejszy niż partje. Monarcha nie może jeść z ręki partyjnej, jak to się dzieje, gdy partji ma do zawdzięczenia to, że został monarchą lub że zpowrotem został monarchą. Monarchiści dzisiejsi, słabi w myśleniu państwowem podobnie jak wszystkie inne partje, niechaj przypomną sobie dzieje cesarzy rzymskich, obwoływanych przez żołnierzy, bardzo często po trzech naraz. Albo niech przypomną sobie krótki żywot przywróconych na tron Burbonów. którzy jeść musieli z ręki partji, która zpowrotem osadziła ich na tronie. Gdyby np. Mussolini chciał zostać cesarzem Włoch, potrzebowałby — aby to osiągnąć — swoich faszystów. Ale oni nie potrzebowaliby go. Oni nie oddaliby się w jego ręce, on zaś musiałby w ich ręce się oddać.

Współcześni monarchiści niemieccy żyją w tem, co sami nazywają przekonaniami monarchistycznemi, dzięki uczuciom, które z biegiem czasu coraz bardziej wysychają i tracą wszelką polityczną efektywność, co dostrzec można już dzisiaj i dzięki czemu z łona obozu monarchistycznego wyszli jako dysydenci nacjonaliści republikańscy — albo też poprostu wydaje im się, że monarchizm jest lepszym interesem niż każdy inny, wreszcie prawdopodobnem jest także i to, że spodziewają się, iż wrzawa monarchistyczna odwróci uwagę opinji publicznej od ciemnych interesów, które robią.

Jeżeli wierzą w to, że służą idei monarchicznej, to albo dzięki swojej głupocie — albo też jest to pospolite oszustwo — jeśli wierzą inaczej.

ZAGRANICA

Stinnes

Hugo Stinnes właściciel firmy węglowej i transportowej w Nadrenji stał się największym spekulantem inflacyjnym w powojennej Europie. Przewidział wcześniej, niż ktokolwiek inny, jakie będą losy waluty niemieckiej i z jej spadku i rozkładu wyciągnął wszystkie korzyści, jakie tylko jeden człowiek mógł wyciągnąć. Kupował wszystko, co tylko kupić było można: fabryki, kopalnie, majątki ziemskie, gazety, przedsiębiorstwa filmowe, banki, hotele, pałace, tereny budowlane, korzystając ze wszystkich źródeł kredytowych, do jakich mógł uzyskać dostęp.

Zanim jednak mógł zabrać się do uporządkowania tego olbrzymiego magazynu naj różniejszej własności, zabrała go śmierć. A bezpośrednio potem przyszła reforma walutowa i stabilizacja.

Pozostawił dwóch synów i jedną córkę. Olbrżymi majątek wymagał olbrzymich kapitałów obrotowych. Synowie zaciągali pożyczki, często na bardzo uciążliwych warunkach. Aż nadszedł kryzys: długi wzrosły tak dalece, że bez uporządkowania całego majątku i reorganizacji wszystkich posiadanych przedsiębiorstw bankructwo było nieuniknione. Ale reorganizacja pochłonęłaby nowe olbrzymie sumy. W porozumieniu z głównymi wierzycielami, przeważnie wielkiemi bankami niemieckiemi z Reichsbankiem na czele, zdecydowano się na likwidację majątku w drodze sprzedaży poszczególnych jego części na zaspokojenie wierzycieli i zdobycie kapitałów na reorganizację i zaopatrzenie w środki obrotowe pozostałych.

W toku likwidacji okazało się, że trzeba właściwie wszystko sprzedać. Rodzinie Stinnesa pozostało niewiele więcej ponad to, co miała przed karjerą spekulacyjną ojca. Ale i ta „resztka" była pokaźna, wynosiła bowiem około 40 miljonów marek złotych, t. j. około 10 miljonów dolarów.

Przedtem jeszcze najstarszy syn, Edmund, rozszedł się z rodziną i jako swoją część otrzymał fabryki samochodów p. f. „Aga", które stanowiły część koncernu Stinnesa. Niedługo jednak potrafił Edmund Stinnes utrzymać to przedsiębiorstwo. Zniecierpliwiony kłopotami, postanowił podarować je swoim robotnikom. Narobiło to wówczas wiele hałasu i rozgłosu, okazało się jednak rychło, że podarek ten niewiele był wart. Przedsiębiorstwo było bowiem tak zadłużone, że po likwidacji dla robotników nic nie pozostało. Sam Edmund Stinnes wyjechał zagranicę i żyje tam dotychczas.

Córka Klarenora również zerwała z rodziną i zaczęła prowadzić życie samodzielne, poświęcając się z upodobaniem sportowi samochodowemu. Przed dwoma laty wzięła udział w raidzie samochodowym do Rosji sowieckiej i od tego czasu zaczęła się bardzo żywo interesować tym krajem, a raczej nowymi władcami tego kraju. Niedawno zaczęły kursować w Niemczech pogłoski wprost skandaliczne o jej zachowaniu się w Rosji.

Drugi syn, Hugo Stinnes, noszący imię swego ojca, był tego ojca największą dumą i oczkiem w głowie. Już jako młodzieniec dwudziestoletni stał na czele najważniejszych jego filij zagranicznych, a przez pewien czas grał także jakąś wielce tajemniczą rolę polityczną w niemieckiej polityce zagranicznej. Po śmierci ojca on stanął na czele pozostałych przedsiębiorstw, które rodzina zdołała uratować z katastrofy.

Przed kilkoma dniami Hugo Stinnes został aresztowany i osadzony w więzieniu śledczem w Berlinie. Zarzucają mu, że uprawiał na wielką skalę oszustwa na szkodę niemieckiego skarbu. Oszustwa te dokonywane były na tle waloryzacji niemieckich pożyczek wojennych. Jak wiadomo, rząd niemiecki przeprowadził warunkową waloryzację pożyczek wojennych, zaciągniętych przez dawny rząd cesarski. Podczas gdy właściciele pożyczek, nabytych już po wojnie na giełdzie otrzymują odszkodowanie w ramach ogólnej ustawy waloryzacyjnej, t. j. w wysokości zaledwie kilku względnie kilkunastu procent wartości nominalnej obligacyj pożyczkowych, osoby, które potrafią udowodnić, że osobiście w czasie wojny subskrybowały pożyczki, względnie w czasie wojny papiery pożyczkowe nabywały, otrzymują odszkodowanie prawie że w pełnej wysokości. Celem przeprowadzenia takiej konwersji pożyczek wojennych zarządzona została rejestracja obligacyj i w każdym wypadku, gdy zgłoszona została pretensja do pełnego odszkodowania przeprowadzane były dochodzenia. Na tem tle było już w Niemczech kilka afer oszukańczych, polegających na tem, że fałszowano księgi w instytucjach bankowych, aby dowieść, że zgłoszone obligacje znajdują się w ręku właściciela obecnego od czasu wojny.

Młody Stinnes zakupił przed rejestracją za kilkadziesiąt miljonów obligacyj pożyczkowych i zgłosił je do rejestracji nie osobiście, lecz za pośrednictwem pewnej paryskiej firmy bankowej, która starała się dowieść, że papiery te są własnością obywateli francuskich i nabyte zostały przez nich w czasie wojny. Między innymi jako główny właściciel tych papierów figurował jeden z parlamentarzystów francuskich.

Był to już zbyt gruby kawał, by urzędy niemieckie mogły nań wpaść. Jakoś trudno było dać wiarę, że obywatele francuscy, nawet pochodzenia alzackiego, skupowali w czasie wojny niemieckie pożyczki wojenne. Zaczęto więc badać sprawę i natrafiono na Stinnesa. Z początku młody Stinnes twierdził, że o niczem nie wie i że widocznie jego funkcjonarjusze nadużyli firmy i na własną rękę poza jego plecami manipulacje te robili. Na zasadzie tych zeznań aresztowano najpierw sekretarza Stinnesa. W ubiegłym tygodniu u sędziego śledczego odbyła się konfrontacja, a po niej sekretarz został wypuszczony za niską kaucją natomiast Hugo Stinnes odprowadzony do celi.

Jak obliczają, Stinnes zarobiłby na tej operacji od 30 do 40 miljonów marek.

* * *

Historja rodziny Stinnesów niepozbawiona jest rysów prawie że tragicznych. Zmarły Hugo Stinnes nie krył się z tem, że wszystko co robi, robi dla swej rodziny, której chce zapewnić takie stanowisko w niemieckiem życiu gospodarczem, jakiego nigdy i nigdzie nie miała żadna rodzina. Chciał stworzyć dynastję potentatów przemysłowych i finansowych, równą najpotężniejszym dynastjom panującym. Stinnes n. p. nie mógł pojąć dlaczego swego czasu Rathenau, również potentat gospodarczy szef największego w Europie koncernu elektrycznego A. E. G., zgodził się porzucić interesy i przyjąć tekę ministra spraw zagranicznych. Nie rozumiał poświęcenia Rathenaua, który przypłacił je życiem i tłumaczył je sobie bardzo prosto: „Niema rodziny, więc nie musi dbać o swoje interesy!" Stinnes poza swoją rodziną świata nie widział i dla swej rodziny gotów był wszystko poświęcić. Nic go nie obchodziły interesy państwa i kłopoty państwa. W najgorszych czasach dla Niemiec, gdy kraj potrzebował dla sanacji waluty każdego dolara i każdego funta, jaki się znajdował w granicach państwa, Stinnes bez skrupułów kupował przedsiębiorstwa, terny, plantacje i domy zagranicą, płacąc je dewizami, które wywoził z kraju.

I oto tak niesławnie kończy ta rodzina, dla której tyle poświęcono.

Bogusław Zabłocki.

Nowy król w Europie

W tych dniach dotychczasowa republika albańska zmieniła swój ustrój republikański na monarchję dynastyczną. Dotychczasowy prezydent republiki, Achmed Zogu, obwołał się królem Albanji.

Jest to napozór wydarzenie drobne — dla stosunków na Bałkanie posiada jednak olbrzymie znaczenie. Albanja od początku swego istnienia jako republika, powstała na zasadzie traktatu pokojowego, była pod wpływami Włoch. Wszystko, co Albanja posiada jest albo włoskie, albo w rękach włoskich: Bank Państwa, monopole, żegluga morska, a nawet armja i marynarka, gdyż armję organizowali oficerowie włoscy i żołnierz albański nosi mundur włoski, a marynarka otrzymała okręty włoskie, bardzo często wraz z załogami.

Przez pewien czas zdawało się, że Włochy zamierzają anektować Albanję i że w tym celu wszystko jest przygotowane. Aneksja w Albanji nie natrafiłaby na poważniejszy sprzeciw, musiałaby jednak wywołać konflikt pomiędzy Włochami a Jugosławją, która graniczy z Albanją. Gdyby bowiem Albanja znalazła się w rękach włoskich, dla ekspansji włoskiej otwarta byłaby droga w głąb półwyspu bałkańskiego, a przedewszystkiem Włochy zapanowałyby niepodzielnie nad Adrjatykiem.

Okazało się jednak, że Mussolini, którego tak gorliwie posądzano o zamiary wojenne, na serjo brał swoje pokojowe deklaracje. Nie zrezygnował jednak przytem z rozszerzenia swoich wpływów w Albanji. Koronacja Achmed Zogu jest takiem właśnie rozszerzeniem wpływów włoskich w Albanji, jest ostetecznem przypieczętowaniem i utrwaleniem na długie czasy dotychczasowego sojuszu włosko-albańskiego.

Achmed Zogu jako król, pragnący utrzymać się przy władzy i zapewnić swoim następcom tron, będzie musiał z konieczności oprzeć się o silnego włoskiego sąsiada. Mógłby uczynić to samo także i jako prezydent republiki, ale przy najbliższych wyborach kandydatura jego mogłaby przepaść, a następca zechciałby może prowadzić inną politykę. Obwołanie się Achmeda Zogu królem stanowi obustronną gwarancję. Dla niego gwarancję nieusuwalności, a dla Włoch gwarancję niezmienności stosunków włosko-albańskich.

Stosunki te zostaną jeszcze bardziej zacieśnione, gdyż najświeższy w Europie król zamierza podobno ożenić się z latoroślą jednej z najstarszych europejskich dynastyj, mianowicie z jedną z córek króla włoskiego Wiktora Emanuela. Jeżeli małżeństwo to dojdzie do skutku, pokojowy podbój Albanji przez Włochy stał się faktem dokonanym.

Przeciw zmianie ustroju w Albanji nie podniosły się nigdzie głosy protestu; nawet Jugosławja, najbardziej w tej sprawie zainteresowana musiała przyjąć to w milczeniu, gdyż każdy protest równałby się wtrąceniu się w wewnętrzne sprawy obcego państwa i spotkałby się z bardzo energiczną odprawą, podyktowaną prawdopodobnie przez Mussoliniego. A na taką ewentualność Jugosławja narażać się nie chciała.

Pokaz bandytów

Chicago jest miastem, posiadającem największą ilość przestępców i zbrodniarzy. To też władze bezpieczeństwa w tem mieście muszą imać się wszelkich środków, aby sprostać pladze zbrodni, panoszącej się w biały dzień i przeciwstawić się skutecznie kilkudziesięciotysięcznej armji opryszków i zbrodniarzy, stale w tem mieście przebywających.

Jednym z takich środków są t. zw. **„pokazy bandytów"** — show-up. Wynalazcą tych pokazów był inspektor policji Mike Grady. Może on o sobie powiedzieć, że opryszków amerykańskich „wprowadził na scenę".

Każdej środy wieczorem i każdej niedzieli popołudniu zbierają się tłumy publiczności w wielkiej sali prefektury policji. Publiczność jest różnorodna, ze wszystkich sfer i ze wszystkich klas społecznych. Przed tą publicznością defilują aktorzy rewji: bandyci, złodzieje, mordercy, huligani wielkomiejscy najgorszej kategorji. Defilują grupami, po dwudziestu, za niską barjerą, frontem do publiczności, suwając szeroko rozstawionemi rękami po poręczy barjery. Na twarze padają snopy światła kilku najmodniejszych lamp projekcyjnych, t. zw. „jupiterów". Niesamowita rewja straszydeł i koszmar — niepozbawiona jednak pierwiastków humoru.

Jeden z komisarzy policji gra rolę konferencjera i przedstawia publiczności „gwiazdy" świata kryminalnego. Czyni to z humorem i dowcipem, jednak bez cienia złośliwości:

— Oto proszę państwa nasz stary przyjaciel Blopping, zażgał siedmiu ludzi i w najbliższym czasie odpocznie sobie wygodnie na elektrycznym czajniku.

W Chicago żyje 50 tysięcy ludzi, którzy w ten czy inny sposób żyją na stopie wojennej z kodeksem. Wojnę z tą armją zbrodni prowadzi bataljonik detektywów, liczący 535 osób. Korpus ten podzielony jest na 107 rewirów. Każdy rewir posiada swój samochód. Służba zmienia się co 8 godzin. Bez przerwy pracują na mieście patrole detektywów, przeszukując jaskinie gry, knajpy suterenowe, nielegalne wyszynki alkoholu, przedmiejskie schroniska noclegowe, wyłapując podejrzane indywidua, które nie mogą wylegitymować się jakąś pracą. Kto nie potrafi dostatecznie dowieść, że pracą zarabia na swoje utrzymanie, jest aresztowany i oskarżany o słynne przestępstwo Nr. 2655, odznaczające się tem, że definicja jego jest tak elastyczna, iż można zmieścić w niej każde przekroczenie prawa. Przemytnikami i handlarzami alkoholu policja kryminalna się nie zajmuje. Dla tej branży istnieje zupełnie oddzielna policja prohibicyjna. Przestępcy alkoholowi nie biorą także udziału w rewjach w prefekturze policji.

Celem takich „pokazów" jest spopularyzowanie jaknajwiększej ilości fizjonomij zbrodniarzy w najszerszych sferach publiczności, aby w razie nowych przestępstw ułatwić poszkodowanym rozpoznanie sprawcy. Sposób ten jest jeszcze nowy i na razie na pokazach takich obecni być mogą tylko poszkodowani w takich przestępstwach, które nie zostały jeszcze wykryte. Co tydzień pokazuje się publiczności najświeższy „materjał" z aresztów policyjnych.

Pewna kobieta, której mąż przed rokiem został zastrzelony, nie opuściła od tego czasu ani jednego „pokazu". Jeśli kiedyś wśród dwudziestu postaci stojących za barjerą w oślepiającym blasku jupiterów, rozpozna mordercę męża, ugasi swoje pragnienie zemsty. Ale co pocznie potem — przecież nie będzie wiedziała, co zrobić z wieczorami środowemi i niedzielnemi popołudniami...

J. E. A.

Kongres mniejszości narodowych

W Genewie odbywa się obecnie kongres mniejszości narodowych. W Kongresie tym biorą udział przedstawiciele wszystkich mniej szości narodowych w państwach europejskich, a więc i Polacy, zamieszkali w Niemczech. Tegoroczny kongres zasługuje na uwagę o tyle, że tymrazem oficjalny udział biorą w nim także przedstawiciele ukraińców i białorusinów, zamieszkałych w Polsce.

Przedstawicielem białorusinów polskich na kongresie jest poseł Jeremicz, który jednak nie złożył żadnej deklaracji, oświadczając, że z powodu spóźnionego zaproszenia delegacja białoruska nie mogła się należycie na kongres przygotować i zastrzegł sobie tylko prawo złożenia deklaracji na najbliższym kongresie.

Z obszerną i buńczuczną deklaracją wystąpili natomiast galicyjscy ukraińcy, którym na kongresie przewodzi poseł Lewicki, ksiądz Kunicki i pani Rudnicka. Poseł Lewicki w deklaracji swojej oświadcza, że Polska łącznie z Rosją i Rumunją zniszczyła samodzielność państwową Ukrainy, której terytorjum podzielone zostało pomiędzy te trzy państwa. zaś Ruś zakarpacką zagarnęła Czechosłowacja. Ukraińcy, zdaniem p. Lewickiego, nie zrezygnowali jednak z myśli o własnem państwie.

Widocznie jednak p. Lewicki nie został przez nikogo upoważniony do przemawiania w imieniu narodu ukraińskiego, gdyż w odpowiedzi na jego wojowniczą deklarację zabrał głos przedstawiciel ukraińców, zamieszkałych w Rumunji i bardzo stanowczo oświadczył: „Jako przywódca delegacji ukraińskiej, która przybyła tutaj z Rumunji, zmuszony jestem w związku z wywodami mego współrodaka z Polski oświadczyć co następuje:

„Nam, ukraińcom, zamieszkałym w Rumunji wydaje się dzisiaj rzeczą o wiele ważniejszą przystosować nasze dążenia kulturalne do istniejącego obecnie spokojnego stanu rzeczy i do istniejących ram prawno-państwowych, niż rozsadzanie tych ram. Gdybyśmy mieli takie zamiary, zabralibyśmy się do rozsadzania w domu, a nie przyjeżdżalibyśmy z tem do Genewy".

Po tej ostrej lekcji delegacja ukraińska z Polski przytłumiła znacznie swój tupet.

Z WENECJI I O WENECJI

III. Od chwały do upadku

Wielka praca i wielki wysiłek duchowy gromadzi rozbitków dziejowych, w ciągu kilku wieków stworzyła piękne i bogate miasto i potężną republikę wenecką, ale w ciągu 150 lat potomkowie tych pasterzy kóz i bydła, wzbogaceni handlem, a przesyceni zamożnością, utracili wielowiekowy dorobek dziejowy. Przyczyniły się wprawdzie do tego zmieniające się stosunki polityczne, a najwięcej może wzrost potęgi tureckiej i utrata zdobytych dawniej posiadłości, ale najważniejszą, a mało napozór dostrzegalną przyczyną było osłabienie energji i siły twórczej społeczeństwa weneckiego, które w próżniaczem, w zbytku i marnotrawstwie pędzonem życiu upatrywało omal że cel jedyny.

Pałace rozpróżniaczonych i rozbawionych patrycjuszy weneckich tonęły w przepychu złoceń, malowideł, cudnych i kosztownych kryształów, makat i strojów przetykanych perłami i djamentami, ale upadał handel, zmniejszała się powaga i siła państwa. Na początku 17-go wieku, w okresie, jak się zdawało, największego rozkwitu Wenecji, jeden z senatorów w pełnym senacie wołał: gdzie są nasze okręty i galiony niegdyś tak liczne, że w portach pomieścić się nie mogły? A działo się to prawie w przededniu układów z Władysławem IV, królem polskim, o wspólną wojnę z Turcją, w której kozacy mieli na czajkach uderzyć na Carogród. Ale, zamiast na Czarne morze, poszli przez Żółte Wody i Korsuń na Polskę.

Jeszcze była stara energja i przedsiębiorczość kupiectwa weneckiego nie zupełnie wygasła, jeszcze galery pod flagą św. Marka licznie widywano na morzu Jońskiem i Śródziemnem, ale rzadko bywały one naładowane pracą ludności weneckiej. Nastroje i upodobania społeczeństwa karłowaciały, przystosowywały się do małej duszy ludzkiej, do małych próżności, małych wymagań, małego zadowolenia. Gdy dawniej zdobywano chwałę pod murami Zary, Ptolomeidy, Konstantynopola, w 18-tym wieku wystarczało zdobywać odznaki na regatach lub w bohaterskich zapasach na pięście. Tam, gdzie zwyciężają Cyganiewicza, rodzą się Maniny, a z matek, zdobywających wawrzyny na konkursach pływackich, nie rodzą się Reytany.

Zamiast dawnej energji, która stworzyła wszystko, co najpiękniejszego posiada Wenecja, zapanował sybarytyzm, rozmiłowanie się w przepychu, w miękkości.

Kobieta rej wiodła, przystosowując się do zniewieściałej duszy mężczyzny. Życie płynęło bez jutra i bez troski. Mistrz tańca stawał się bardziej cenionym niż uczony, malarz, poeta.

Gdy dawne poważne patrycjuszki lubiły prezentować się w całym blasku zamożności i powagi tylko w poważnych okolicznościach, w okresie zbliżającego się upadku poczęły czas tracić na bezpłodnych wizytach i spędzały godziny całe w towarzystwie zniewieściałych galantów, włócząc się po nabrzeżach i na placach przy świetle księżyca, który dyskretnie nie wszystkie zakątki oświetlał. Lustro i fryzjer — opowiadają pamiętnikarze — pochłaniały jej siedem godzin dziennie. Fryzjer, perukarz stawał się często powiernikiem próżnującej patrycjuszki, a niekiedy więcej niż powiernikiem.

Gdy służba oznajmiła, że przyszedł fryzjer dla upudrowania damy lub ubrania jej głowy, goście musieli przed nim ustąpić, a wizyty takie trwały nieraz godzinami, sam na sam. Były to godziny „ubierania się", plotek, znoszonych przez perukarza lub miłostek.

Oczywiście, do takiego poziomu umysłowego układało się całe życie ówczesnego wyższego towarzystwa. Wszystkie godności kupowały się albo łaską płci pięknej, albo za pieniądze. „Złota księga" starego weneckiego patrycjatu powiększała się nie ceną zasług obywateli, lecz ceną złota, płaconą przez szczęśliwych dorobkiewiczów lub faworytów.

Oczywiście, że najbliższem następstwem rozluźnienia obyczajów, były częste rozwody, które stały się jedną z cech, chylącej się do upadku republiki Weneckiej.

Dawne, pełne poetyckiego uroku zabawy, których kobieta była ozdobą i pięknem, przybierały charakter seksualnych wyścigów, często z przeszkodami, czemś podobnem do polowania, na którem goniono się wzajemnie — o posiadanie zwierzyny.

Nie brak było w Wenecji 17-go i 18-go wieku znakomitych budowniczych, ekonomistów, uczonych, prawdziwych artystów w różnych gałęziach sztuki, ale brak było wielkich charakterów, na których oprzeć się może państwo w wielkiej chwili dziejowej.

Dziwnym zbiegiem okoliczności rewolucja francuska z roku 1789 przyspieszyła upadek republiki weneckiej.

Odgłos walk zwycięskich Napoleona odbijał się echem po całej Italji. Można się było spodziewać, że niedaremnie zbliżają się do niej echa wystrzałów armatnich. Już podział Polski budził w Radzie Dziesięciu obawy i potrzebę zbrojenia się, ale brakło Mocenigo'ów, Fossari'ich, Loredan'ów, Morosinich w pałacu dożów.

Fatalny los zrządził, że właśnie w tym roku, kiedy wybuchła rewolucja **nin,** wzbogacony parwenjusz, którego przodkowie z Udine przybyli. Za złoto kupił godność doży. W roku 1797 Napoleon I zjawił się w Wenecji. Zdobył ją jeszcze bardziej bezbronną, niż Suworow Warszawę. Zwołał Wielką Radę, na której zjawili się prawie wszyscy senatorowie. Napoleon I zaproponował im zmianę rządu. Na sześciuset blisko zebranych, **tylko 20 dało negatywną odpowiedź.** Manin płakał w sali Wielkiej Rady, oświadczając, „że jest zdecydowany poddać się woli Boga" i, „oddając się na łaskę Zbawiciela i jego Najświętszej Matki" — podpisał wyrok na własną ojczyznę. „Nikt nie znalazł się" — powiada Hipolit Nievo — „ażeby mu płaszcz doży z ramion zerwać lub łeb zdradziecki roztrzaskać".

Zdjęto z gmachów publicznych sztandary św. Marka i lwa skrzydlatego z kolumny na Piazetto. Zaprzedańcy lub oślepieni blaskiem zwycięstw „boga wojny" śpiewali Marsyljankę, obalając kolumnę z lwem św. Marka i paląc na placu „Złotą Księgę", w której historja nie zapisała ich nazwisk. Gdy część ludności, pamiętająca tradycje świetnej przeszłości, wznosiła okrzyki na cześć św. Marka, półnagie bachantki, upojone zwycięstwem rewolucji, tańczyły na placu św. Marka carmagnole'ę.

Manin bardzo wiele podobieństwa posiada z naszym **Stanisławem Augustem** pod względem zbrodniczej miękkości charakteru w stosunku do wysokiego dostojeństwa, jakie posiadał. W danej chwili dziejowej większe znaczenie niż rozum posiada energja i stanowczość. Obu też królom republikańskim los przeznaczył miejsce nie w krypcie królewskiej: Stanisław August spoczął w stolicy Carów, jakby słusznie odrzucony przez Ojczyznę, a grobowiec Ludwika Manina przytulony jest tylko do ściany kościoła św. Marka. Mówią, że dlatego, iż był żydem. Powoływanie się publiczne na Zbawiciela i Najświętszą Marję Pannę przeczy temu. Nie spoczął w grobowcach dożów, bo nie był godzien tego.

Napoleon I miał coś w swoim charakterze ze starych wodzów rzymskich, którzy podbijali obce państwa, ale niewolę osładzali zawsze pożytkiem publicznym. Bystry jego wzrok dostrzegał nieraz błędy poprzedników i poprawiał je. To też nietylko plac św. Marka skończoną piękność swoją **jemu zawdzięcza,** ale dzisiejszy ogród na skrajnym cyplu Riva Schiavoni jemu zawdzięcza swoje powstanie. Giardini publici, ozdobione kilkoma pomnikami i pawilonami, a przedewszystkiem pięknym pomnikiem Garibaldiego, gdzie w całej pełni zajaśniał na nowo, w nowe idee ubrany wszechstronny genjusz artystyczny i patryotyzm italski, stało się ulubionem miejscem samotnych przechadzek i wypoczynku. Murowane wybrzeże, zasłaniające długi pas odsypiska od strony morza, od Alberoni, aż do wylotu pod Chioggia, **jego są dziełem.**

Po Napoleonie I przyszły gorsze czasy dla Wenecji: **panowanie Habsburgów.** Potężna ta niegdyś dynastja dużo miała w sobie cech raubritterów średniowiecznych, ale mało zamiłowania do piękna i poszanowania cudzej przeszłości. To też Wenecja pod berłem Habsburgów stoczyła się do ostatecznego upadku. Jako port handlowy straciła wszelkie znaczenie. Austrja popierała rozwój Rjeki (Fiume), Tryjestu, a przedewszystkiem Poli, która stała się jej portem morskim. Stare pałace na Canal grande i stare mury dawnych magazynów składowych rozsypały się w gruzy. Jedyną pożyteczną pamiątką po jej panowaniu jest kolej łącząca ją z lądem i obrzydliwy żelazny most rzucony przez Canal grande do Akademji. Kiedyś Wenecjanie zniszczą go jako wstrętną dysharmonję, szpecącą cudowne otoczenie.

R. G.

Pętaki dziennikarskie

W „Rzeczypospolitej" czytamy następujące uwagi:

„Pętak jest stworzeniem nieszkodliwem tak samo jak i niepożytecznem. Jego rolą w życiu jest bierne pętanie się w tłoku ludzkich prac, interesów, zabaw, zainteresowań. Jego marzenia są milimetrowe, a jego ciężar własny równa się zeru.

Ot, taki sobie nie kąśliwy, a jednak dokuczliwy insekt, wciskający się wszędzie, gdzie życie nie jest matematycznie pracującą maszyną, gdzie znajdzie się dlań choć odrobina „luzu".

Najwięcej pętaków wegetuje na życiu sztuki, polityki, literatury i t. p. Szczególniej zaś i specjalnie obficie ten rodzaj ssaków oblazł dziennikarstwo polskie.

Małe, nędzne pętaki, istoty pozbawione wszelkich wartości, amoralne, bezpłciowe, żadne, coraz większemi masami zasypują prasę polską, aż zaczyna w niej być duszno.

Zapełniają swojemi strasznemi wypocinami bez barwy, myśli i talentu, bez przekonania, bez sensu wreszcie, całe szpalty dzienników i tygodników. Telepią się po lokalach redakcyjnych, po urzędach, instytucjach, imprezach, obnosząc swoją tragiczną nicość, emanując tępotę, świecąc haniebną ignorancją, nieuctwem i naiwną blagą.

Pętaki dziennikarskie.

Cóż dziwnego, że w tych warunkach w społeczeństwie, gdzie tak szanowne i czcigodne stanowisko zajmowała prasa, dziś słowo „redaktor" musi przechodzić ciężką bessę.

Bo i rzeczywiście, byle akwizytorzyna, byle reporter, którego wziął wydawca tylko dlatego, że może go popychać w dowolnym kierunku za psie pieniądze, byle bubek, który kiedyś, gdzieś, jakieś bzdury wkręcił i wydrukował — nazywa siebie redaktorem.

Pętaki dziennikarskie...

Siedzi to dniami całemi po cukierniach i kawiarniach, zapija się w podejrzanych spelunkach, próbując swojem „redaktorstwem" zaimponować dorożkarzowi, pikolakom i dziewczynie ulicznej.

I prasa dusi się, jałowieje, upada pod chmurą tego pętactwa.

Jeżeli liczba czytelnictwa się nie podnosi, a jego poziom straszliwie się obniża, to właśnie w lwiej części zasługa pętaków dziennikarskich. Tych pojedyńczo nieszkodliwych, mizernych, żadnych istot, które w masie przytłaczają swą nicością.

Kompromitujący naszą kulturę stan prasy w Polsce jest winą samej prasy, która zarówno w osobach wydawców jak i dziennikarzy nie umie czy nie chce oczyścić się z pętactwa.

Już nie o prestige zawodu dziennikarskiego, już nie o prestige prasy tu chodzi, lecz o to, że czytelnictwo nie wzrośnie, póki do czytelnika będą przemawiali ci, co nic do powiedzenia nie mają i mieć nie mogą — pętaki dziennikarskie".

MORMONI

W latach pomiędzy 1830 a 1880 istniały w Ameryce dwie sprawy, które trzymały w napięciu uwagę wszystkich. Były to: sprawa niewolnictwa i sprawa mormonów. Wojna domowa doprowadziła do zniesienia niewolnictwa, Mormoni zaś istnieją dotychczas. Sekta ta posiada obecnie około 400 tysięcy wyznawców, którzy jednak usunęli główną przyczynę walki, jaką z nimi toczono, t. j. wielożeństwo.

Co to jest mormonizm? Jest to wynalazek sprytnego, awanturniczego, a przytem romantycznego oszusta, nazwiskiem **Józef Smith,** który podawał się za proroka bożego i twierdził, że pozostaje w bezpośrednich stosunkach z Najwyższym. Smith posiadał taki temperament i tak wielki, wrodzony dar wymowy, że udało mu się niebawem znaleźć zwolenników dla swojej nauki i stworzyć sektę. Powoływał się przytem na anioła Moroni, który miał mu się objawić i rozkazać mu, aby napisał nową biblję. Twierdził przytem, że wspomniany anioł wręczył mu złote tablice z tekstem tej nowej biblji i zarazem dodał mu parę „duchownych okularów", przy pomocy których jest w stanie odczytać tajemne pismo na tych tablicach i przetłumaczyć je na język angielski. Ponieważ jednak Smith sam nie umiał dobrze po angielsku, anioł poradził mu, aby o pomoc zwrócił się do swego sąsiada, Marcina Harris. Pisanie biblji odbywało się więc w ten sposób, że Smith chował się za zasłoną wraz z rzekomemi złotemi tablicami i stamtąd dyktował, a Harris pisał. Robota postępowała naprzód i byłoby wszystko dobrze się skończyło, gdyby nie ciekawość kobieca. Ciekawą była żona Harrisa, która zapragnęła naraz na własne oczy obejrzeć złote tablice, dostarczone przez anioła. Żądanie to zostało oczywiście przez Najwyższego odrzucone, a decyzja zakomunikowana Harrisowej przez proroka. Kobiecina uparła się jednak i domagała się coraz natarczywiej, aby pokazano jej przynajmniej pierwsze stronnice złotego oryginału biblji. Ale i na to Najwyższy się nie zgodził. Harrisowa postanowiła się zemścić. Pewnego razu, gdy dowiedziała się, że Najwyższy za pośrednictwem Smitha nakazał jej mężowi, by dał pieniądze, potrzebne na wydrukowanie biblji, wymogła na Smith'cie, że pozwolił jej przeczytać pierwszych 116 stron przepisanej biblji. Otrzymawszy rękopis, zniszczyła go.

Smith był w rozpaczy, ale i tym razem Najwyższy nie opuścił swego proroka. Nakazał mu, aby się stratą nie przejmował i aby biblję Mormonów zaczął od 117-ej strony. I tak się też stało. Biblja mormonów zaczyna się na 117-ej stronie.

Sekta byłaby prawdopodobnie bardzo prędko upadła, gdyby w pewnym momencie nie znalazł się człowiek energiczny i świetny organizator. Człowiekiem tym był **Brigham Young.** Zainteresował się sektą, przystąpił do niej i rychło stał się jej duszą. Przyjęty w grono dwunastu apostołów sekty, zajął się przedewszystkiem zorganizowaniem pracy misyjnej. Sam udał się do Anglji i w ciągu jednego roku zyskał 8 tysięcy nowych zwolenników, sprzedał 5 tysięcy biblij, 3 tysiące śpiewników i 50 tysięcy broszur mormońskich.

W międzyczasie mormoni przesiedlili się do dzisiejszego stanu Illinois i założyli tam miasto **Nanvoo,** które niebawem zaludniło się 12-toma tysiącami mieszkańców. Powodzenie przewróciło w głowie Smithowi. Licząc zaledwie 38 lat był absolutnym panem wielkiego miasta, gdyż był w jednej osobie i burmistrzem i sędzią i zwierzchnikiem władzy policyjnej. Zapragnął zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych i zgłosił swoją kandydaturę, wreszcie zaczął pić, żyć zbytkownie i rozrzutnie. W końcu zapragnął mieć więcej żon. I znowu Najwyższy objawił mu się i oświadczył, że jako Mormon ma prawo poślubić tyle żon, ile mu się podoba, ponieważ jest życzeniem Najwyższego, aby Mormoni rozmnożyli się tak jak lud Abrahama. Zastosował się też ściśle do tego polecenia i niezwłocznie ożenił się aż z czterema naraz młodemi dziewczętami w wieku poniżej dwudziestu lat.

Brigham Young także nic nie miał przeciw temu i zaraz po powrocie z Anglji powiększył swoją rodzinę, dobierając sobie do posiadanej dotychczas jednej, dalszych siedem żon. Ale Józef Smith chciał mieć pierwszeństwo. Był mężczyzną niezwykle przystojnym i kobiety goniły za nim. On zaś nie gardził żadną i wkrótce miał **28 żon.** Powodzenie zepsuło go jednak zupełnie, tak że zaczął stanowiska swego nadużywać w celach materjalnych. Wszystko to wywołało protesty i oburzenie wśród niemormońskiej ludności Illinois i wybuchło powstanie w czasie którego Smith został przez tłum pojmany i zastrzelony.

Władzę w gminie mormonów ujął teraz Brigham Young. Podobnie jak Smith wszedł w stosunki z Najwyższym i kazał się Mormonom wybrać prezydentem miasta. Przewidział jednak, że po ostatnich zajściach Mormoni nie będą mogli dłużej pozostać w Illinois, który to stan należał już do Unji i postanowił przenieść się na terytorjum kraju Utah. Tam założyli Mormoni miasto **Salt Lake City.** Young był bajecznym organizatorem i propagandzistą. W roku 1850 było w Utah tylko 11,354 Mormonów, w roku 1880 liczba ich wzrosła do 120 tysięcy. Young stworzył duży fundusz, z którego finansowano imigrację do Utah. Każdy emigrant, który zobowiązał się przyjąć mormonizm i osiedlić się w Utah, sprowadzany był z miejsca swego zamieszkania na koszt Mormonów. Fundusze zaś zdobywał drogą podatków, które nakładał na wyznawców. Około roku 1852, ody sekta już się urządziła w Utah i zdobyła pierwszy dobrobyt, Young proklamował publicznie wielożeństwo jako prawo. W motywach tej ustawy powiedział, że do wielożeństwa nie skłaniają Mormonów bynajmniej względy rozpusty, lecz obowiązek płodzenia jaknajwiększej ilości dzieci.

Young nigdy nie przyznawał się ile razy się ożenił i ile żon żyło pod jego dachem. Szacowano go **na 40 do 200 żon.** Pewien angielski reporter, który dotarł do siedziby Mor-

O parlamentach i zwyczajach parlamentarnych

Prezydent niemieckiego parlamentu Loebe wydał rozporządzenie, **aby w sali Reichstagu skasowano trybunę mówców,** a to w tym celu, by uniemożliwić posłom odczytywanie swoich przemówień z przygotowanych rękopisów. Zarządzenie to spotkało się z objawami żywego zadowolenia w opinji publicznej. Wprawdzie istniał już dawniej zakaz odczytywania w Reichstagu przemówień z przygotowanych rękopisów, ale zakaz ten nie był nigdy respektowany. Większość parlamentarzystów niemieckich nie posiadała, ani nie starała się nabyć umiejętności przemawiania. Rozporządzenie Loebego nie usunie przeto starego nałogu, utrudni tylko posłom „wygłaszanie" przemówień, gdyż nie będzie gdzie położyć w sposób niewidoczny rękopisu z tekstem przemówienia i trzeba będzie uczyć się mów na pamięć. I może niejeden dzięki temu zarządzeniu srodze się skompromituje, gdy **utknie w środku kunsztownie zbudowanego zdania** i ani rusz dalej.

W parlamencie angielskim nigdy nie było trybuny dla mówców. Nigdy też tam nikomu przez myśl nie przeszło, by przemówienie można odczytywać z przygotowanej notatki. Przecież byłoby to sprzeczne z angielskiem pojęciem o parlamentarnej wymowie i o parlamentarnej dyskusji, gdyż uniemożliwiałoby natychmiastową polemikę z mówcą. W parlamencie niemieckim, podobnie jak i w naszym sejmie **lista mówców układana jest troskliwie i skrupulatnie przed każdą dyskusją.** Niekiedy nawet na kilka dni przed rozpoczęciem dyskusji, a zawsze **na zasadzie klucza partyjnego** i w zależności od siły liczebnej poszczególnych frakcyj sejmowych. Każdy z zapisanych do głosu, gdy na niego przychodzi kolej, wyciąga z kieszeni lub z teki starannie zgóry przygotowaną „mowę" — bardzo często **przez wynajętego stylistę napisaną.** Jeżeli więc mówca „Wyzwolenia" zaatakuje n. p. „Stronnictwo Narodowe" — to mówca tego stronnictwa nie może z miejsca replikować, lecz musi spokojnie czekać aż przyjdzie na niego kolej — czasem nawet czekać musi kilka dni. Dzięki temu **zatraca się charakter dyskusji** i to co nazywa się dyskusją sejmową jest w gruncie rzeczy bezdusznem, niebywale nudnem recytowaniem ról wyuczonych jakąś „próbą czytaną". **Od tego doprawdy mogą muchy zdychać.**

* * *

Angielska debata parlamentarna jest rzeczywiście **dyskusją prawdziwą.** Na każdy atak następuje natychmiast odpowiedź lub kontratak. Niema tam żadnych zgóry przygotowanych list mówców, zestawionych według klucza partyjnego. Kto chce zabrać głos, aby odpowiedzieć na wywody lub zaczepki przedmówcy, musi okazać to przewodniczącemu (speackerowi), zwracając w jakiś sposób jego uwagę na siebie. Speacker według swego uznania udziela głosu temu, którego uważa za najodpowiedniejszego z pośród zgłaszających się do słowa, aby odpowiedzieć na uwagi przedmówcy. **Speacker jest wszechwładny.** Każda próba sprzeciwienia się jego decyzji, nawet oderwana uwaga krytyczna co do jego zarządzeń uważana byłaby przez anglika za zbrodnię, gorszą od ojcobójstwa. A pomimo tej despotycznej i niczem nieograniczonej władzy, speacker jest dobrym duchem parlamentu. Słuchają go wszyscy, ponieważ wszyscy go wybierali. Wybór zresztą jest zazwyczaj jednogłośny. On zaś ze swej strony, **przyjmując wybór, zgłasza natychmiast wystąpienie ze swojej partji.** I to nie jest jakaś czcza formalność. Speacker **gruntownie zrywa ze swoją partyjną przeszłością** i staje się odtąd uosobieniem bezstronności.

* * *

Sposób prowadzenia dyskusyj parlamentarnych w Anglji jest syntezą i symbolem wolności i dyscypliny. Można to obserwować najlepiej na t. zw. **„drobnych pytaniach".** Każdy poseł ma prawo każdej chwili interpelować każdego z ministrów o wyjaśnienie każdej sprawy, dotyczącej jego resortu. **Minister musi odpowiedzieć,** chociażby tylko tyle miał do powiedzenia, że nic powiedzieć nie może. Co tydzień wyznaczone są dwa dni, w których przed rozpoczęciem posiedzenia jedna godzina przeznaczona jest na te krótkie pytania. Na zasadzie otrzymanej odpowiedzi, poseł może swoje pytanie uzupełnić lub rozszerzyć, a minister zawsze musi odpowiedzieć. Ta gra pytań i odpowiedzi, utrzymywanych w możliwie najkrótszych zdaniach, jest niezmiernie interesująca i pouczająca. Budzi ona **zainteresowanie szerokiego ogółu** dla wielu specjalnych spraw politycznego, a zwłaszcza zewnętrzno-politycznego życia państwa. A nadewszystko zaś gra ta jest wspaniałem ćwiczeniem dla mówców, gdyż wymaga, aby nawet najbardziej skomplikowane kwestje formułowane były w króciutkich, powszechnie zrozumiałych zdaniach pytających i takich samych odpowiedziach. Jednem słowem trzeba trafiać w sedno sprawy.

My mamy zamiast tego interpelacje — ale i te nie są do utrzymania w pierwotnej formie, gdyż wobec **braku wszelkiego poczucia dyscypliny i rzeczowości u posłów, formy interpelacji nadużywa się w celach agitacyjnych.** Doszło do tego, że ministrowie na interpelacje nie byli w stanie dawać odpowiedzi i zakorzenił się zwyczaj **odpowiadania na piśmie.** W tych warunkach zasada interpelacji została przekreślona, a sama interpelacja stała się rzeczą szkodliwą, gdyż **obciąża aparat sejmowy balastem biurokratycznym.**

* * *

Anglicy w przeciwieństwie do Francuzów nie są narodem mówców. Może dlatego od dawien dawna bardzo wielki nacisk kładzie się w Anglji na kształcenie wymowy. Polityczny instynkt anglików uczy ich, że istnieje **ścisły związek pomiędzy politycznemi zdolnościami, a umiejętnością wymowy.** Na uniwersytetach w Oxford i Cambridge istnieją **kluby dyskusyjne** — Debating Clubs — które zdobyły sobie światowy rozgłos. Nawet premjerowie angielscy chętnie biorą udział w dyskusjach, organizowanych przez te kluby. Z grona członków tych klubów wyszło wielu największych angielskich polityków i mężów stanu. Debating Clubs, to coś jakby **korpusy kadetów parlamentu angielskiego,** gdyż urządzone są na wzór parlamentu, posiadają swoje partje i swój regulamin. W nich uczy się młodzieniec przedewszystkiem zasady, **że nie wolno nigdy uciekać się do inwektyw osobistych, że nawet na najostrzejsze ataki rzeczowe, rzeczowo tylko wolno odpowiadać,** że bezwarunkowo należy się podporządkować zarządzeniom przewodniczącego, że nieocenionym środkiem do spotęgowania wrażenia mowy jest jej krótkość i umiejętne posługiwanie się dobrze przystosowanym do tematu dowcipem i humorem. A nadewszystko uczy się, że **przeciwnika bije się nie kwiecistymi frazesami, ale lepszymi argumentami.**

W krajach romańskich i słowiańskich bardzo często retoryka sama wystarcza, by przejściowo zdobyć wpływ i oddźwięk. W Anglji zwyciężyć można tylko rzeczowością. W Debating Clubie niejeden młodzieniec, wykazując wybitny dar rzeczowej argumentacji, zwraca na siebie uwagę starszych i tem samem stawia pierwsze kroki na drodze wielkiej karjery życiowej.

* * *

Nie będzie też paradoksem twierdzenie, że bez tak wysokiego poziomu swej politycznej dyskusji, Anglja nie potrafiłaby dojść do dzisiejszej swojej światowej potęgi, a tem mniej nie potrafiłaby tej potęgi tak długo utrzymać. Od trzystu lat Anglja nie miała żadnej rewolucji. Parlament jej dzięki panującej w nim dyscyplinie i dzięki opanowanym formom dyskusji, potrafił nawet w najcięższych chwilach znaleźć legalne wyjście i legalne zażegnanie rodzących się konfliktów. Wodzowie narodu angielskiego **nie potrzebowali nigdy myśleć o dyktaturze,** ponieważ rzeczową swoją wymową zawsze potrafili naród swój zaprowadzić tam, gdzie mieć go chcieli. W pięciu częściach świata Anglja panuje nad setką różnych narodów. Bardzo często ten lub inny naród usiłuje przeciwstawić się hegemonji angielskiej. Ale dla parlamentu angielskiego wszystkie te narody mają najgłębszy szacunek i wszystkie uznają w nim najpewniejszy i najmocniejszy kit, łączący poszczególne części Imperjum.

Jeżeli przeto u nas tak często powołują się różni na parlament angielski jako na dowód, że parlamentaryzm nie jest przeżytkiem i że formy parlamentarne nadal są najodpowiedniejsze dla rządzenia państwem, to trzeba sobie uprzytomnić **olbrzymią różnicę, jaka istnieje pomiędzy parlamentem angielskim a takim n. p. naszym sejmem.** Obok angielskiego parlamentu i angielskich zwyczajów parlamentarnych nasz sejm jest **opłakaną parodją.** Czy można się więc dziwić, jeżeli obmierzła nawet szczerym zwolennikom parlamentaryzmu?

H. G.

Po XI-ej Olimpjadzie

NAWRÓT KU GRECJI.

Nawrót ten daje się zauważyć od kilku wieków. Od czasu zwanego renesansem. Poprzez różne zmienności rósł on ciągle i niepowstrzymanie. Kultura, dorobek ogólnoludzki, coraz to bardziej zdecydowanie szła ku kultowi zdrowego ciała, ku potwierdzeniu życia, ku jego radości. Ten dośrodkowy kierunek płynie coraz szerszym prądem. W świętowaniu Olimpjad znalazł on swój najogólniejszy wyraz. Prąd równoległy, ale odśrodkowy, prąd chrześcijański, wyrosły z uczucia współczucia, prowadzący do pokornego znoszenia ciężaru życia, panował przez poprzednie tysiąc lat. Będąc niezwykle cenną zdobyczą, na której wyrosła łączność ludzka, miłość bliźniego i wiele innych cnót, nieraz katastrofalnie skręcał na manowce, gdy zatracano świadomość o źródle uczuciowym i podporządkowano mu rozum krytyczny. A dwa te czynniki muszą być ściśle rozgraniczone: r o z u m k r y t y c z n y i u c z u c i e. Rozum panuje nad pozytywną wiedzą. Uczucie — jest to indywidualna korektywa rzeczywistości, będąca odbiciem przeżyć, sharmonizowanem z pragnieniem danej jednostki.

Element uczucia zatem zabarwia kulturę. Raz jest to dośrodkowy kult gracji, zdrowego ciała, radosnego życia; to znowu jest to kult odśrodkowy pokory, poświęcenia i, nieraz do negacji życia doczesnego prowadzącej, kontemplacji. Tu są te manowce, o których wyżej była mowa. Manowcami są zarówno przesadne wyobrażenie o życiu, jak i zatracanie go w mrokach. Drogowskazem powinna być wiedza pozytywna, bezbarwna. Powinna ona powstrzymać błędne rozumowanie, doprowadzające często do okropnych manifestacyj bezkrytycznego kultu. Palić w imię zbawienia — to paradoks, który jednak kosztował krocie istnień ludzkich. Torturować w imię miłości — to jest ostatnie słowo błędnego rozumowania, które, niestety, w czyn było wprowadzane.

Ta krwawa odskocznia była jednak potrzebna, by zwrócić znów wzrok ku życiu, ku radości życia, ku sobie, ku swemu ciału i jego kultowi. To jest nawrót do hellenizmu, do słonecznego światła, do nieskrępowanej niczem tężyzny i rozwoju, do sportu. Ostatni tego wyraz mamy we wznowieniu Olimpiad, gdzie wszelkie tężyzny ducha i ciała są narówni wobec wielu, wielu tysięcy widzów produkowane. Ale i tu grozi niebezpieczeństwo przesady, zbytniej dufności w swe siły, pychy i t. p. Dlatego też zawsze powinna istnieć współpraca między obydwoma kultami: dośrodkowym, ku sobie, radosnym i odśrodkowym ku bliźnim.

I tem jesteśmy o szczebel wyżej od Greków starożytności, że przeszliśmy przez tysiącletni mrok w cieniu katedry wszechmiłującego chrześcijaństwa. W porównaniu zaś z tem tysiącleciem zdobyliśmy trzeźwy, pozytywny sąd o świecie, nie zamglony namiętnem umiłowaniem ani namiętną nienawiścią. I dumni jesteśmy ze swego ciała, które ćwiczymy w pełnej świadomości tej głębokiej prawdy, że „mens sana in corpore sano".

Kazimierz Grosman.

monów, starał się policzyć pończochy kobiece, suszące się na sznurach w ogrodzie Younga, ale także nie doliczył się wszystkich żon.

Tymczasem Young posiadał w rzeczywistości **tylko 27 żon.** Pierwszy raz ożenił się, licząc 23 lat. Pojął młodą, biedną dziewczynę, która zmarła mu na gruźlicę. Wówczas był jeszcze farmerem, szklarzem, tapicerem i lakiernikiem i powodziło mu się bardzo źle. Po śmierci pierwszej żony ożenił się z Mary Ann Angel, z którą miał sześcioro dzieci. Była to kobieta bardzo religijna i bardzo gorliwa wyznawczyni mormonizmu. Nie miała też nic przeciw temu, gdy Young dobrał sobie drugą żonę, gdy miał lat 41. Oblubienica liczyła lat 20. Z nią miał siedmioro dzieci. Później ożenił się z siostrą tej drugiej żony, która w chwili ślubu liczyła zaledwie 16 lat. Sam liczył wówczas 43 lat, a w międzyczasie dobrał sobie jeszcze dwie żony i to w jednym i tym samym dniu.

Po śmierci Smitha Young uważał sobie za obowiązek przyjąć w spadku po nim kilka pozostałych żon. Z tymi ożenił się tylko **„na czas"** t. zn., że **„na wieczność"** pozostały żonami Smitha. Naogół Mormoni żenili się „na czas i wieczność" wyjątkowo jednak, gdy chodziło o starsze kobiety, żenili się tylko „na wieczność".

W roku 1846 Young powiększył swoją rodzinę o dalszych osiem żon. Było to przed wymarszem do Utah. Widocznie obawiał się, że w czasie długiej i uciążliwej podróży nie będzie wiele sposobności do żeniaczki, wolał się przeto zabezpieczyć. Z czterema ożenił się w jednym dniu. Ale i w czasie wędrówki znalazł czas na to miłe zajęcie i pojął dwie siostry, z których jedna miała 20 a druga 16 lat. Po dłuższej pauzie, w roku 1852 ożenił się z 24-ro letnią Elizą Burgess, która na zabój zakochała się w 51-letnim Brighamie i oświadczyła, że gotowa jest siedem lat służyć u niego, tak jak ś. p. Jakób służył za Rachelę. I rzeczywiście z własnej woli gorliwie spełniała wszystkie posługi w olbrzymiem gospodarstwie proroka Mormonów.

Minęły znowu cztery lata. Tym razem wybranką była 25-letnia rozwódka z trojgiem dzieci z pierwszego małżeństwa. Dzięki tym licznym żeniaczkom Young **zatracił już rachunek swoich dzieci.** Mówił sam o sobie, że każde dziecko w Salt Lake City nazywa go ojcem i zawsze prawie okazuje się, że dziecko ma rację.

I znowu przez dłuższy czas nie myślał Young o nowej żeniaczce. Miał wiele kłopotów ze swoją gminą i był w ciągłej walce z rządem Stanów Zjednoczonych o uznanie Utah za stan samodzielny, w którym obowiązywałyby prawa Mormonów. Dopiero, mając 61 lat, zakochał się naprawdę. Dziewczyna nazywała się Amelja Folsom, liczyła lat 25, była smukła, bardzo ładna i wykształcona. Przybyła wraz z rodzicami do Utah i przeszła na mormonizm. Najbardziej zajmponowała Youngowi tem, że umiała grać na fortepianie, której to sztuki nie posiadała żadna z kobiet mormońskich. Zdawało się, że podstarzały adonis oszalał z miłości. Amelja jednak pozostała nieczułą na jego starania — był dla niej za stary. Wkońcu jednak uległa namowom rodziców, ale postawiła szereg warunków. Ślub odbył się w roku 1863. Bezpośrednio po ślubie Young został zaaresztowany na zasadzie nowej ustawy, ogłoszonej przez rząd Stanów, a uznającej wielożeństwo za zbrodnię. Ustawa wymierzona była przeciw Mormonom. Okazało się jednak, że Mormoni są siłą, z którą Waszyngton musiał się liczyć. Po aresztowaniu Younga wybuchło w Utah takie oburzenie, że czemprędzej musiano proroka zwolnić i pozwolić mu powrócić do haremu, a zwłaszcza do ostatniej żony.

Amelja, jak wspomnieliśmy, postawiła szereg warunków przed ślubem. I tak Young musiał dla niej wybudować osobny pałacyk, aby nie musiała stykać się z pozostałemi żonami proroka, musiał dać jej do dyspozycji wspaniałą karetę, ubierać ją w kosztowne suknie, musiał jadać z nią przy oddzielnym stole i wyjeżdżać z nią na południe. Nazywano ją też „najukochańszą żoną Brigham Younga".

Przed jednem niestety nie potrafiła się zabezpieczyć, mianowicie przed nowemi ożenkami Younga. Dwa razy jeszcze Brigham stawał na ślubnym kobiercu, a że dzban dopóty wodę nosi, póki ucho się nie urwie — przeto przy drugim i ostatnim ożenku Young wpadł. Oblubienicą była **Ann Eliza Webb.** Żył z nią przez siedem lat. Po tych siedmiu latach Eliza Webb wystąpiła ze skargą rozwodową, podając za przyczynę opuszczenie przez męża i zaniedbanie. Domagała się przytem alimentów w sumie **200 tysięcy dolarów,** podając **majątek Younga na 8 miljonów dolarów.** I powstała nader interesująca kwestja: Gdyby sądy Stanów Zjednoczonych uznały pretensje Elizy Webb, oznaczałoby to tem samem oficjalne uznanie wielożeństwa u Mormonów. Tego Youngowi było potrzeba. Sądy jednak pretensje Elizy odrzuciły, **nie uznając jej za prawowitą żonę Younga.** Ale Elizie proces opłacił się mimo to. Stała się dzięki niemu sławną w całym świecie. Nie było jeszcze wówczas wytwórni filmowych, ale istniały już księgarnie. Zaproponowano jej przeto napisanie książki o przeżyciach w haremie mormońskim. Książka ta p. t. **„Kobieta Nr. 19"** rozeszła się w ciągu kilku tygodni w miljonach egzemplarzy i przyniosła Elizie majątek większy niż jej pretensja do Younga.

Według najskrupulatniejszych obliczeń, **Young miał 56 dzieci, z tego 31 córek a 25 synów.** Ponieważ w domu jego co kilka dni był poród, polecił on jednej ze swoich żon, aby wykształciła się na akuszerkę. Przy tem wszystkiem pożycie domowe Younga było **niemal że wzorowe.** W domu panowała **idealna zgoda i harmonja.** Gdy w wieku 76 lat Brigham zmarł, nad grobem jego płakało siedemnaście żon, które go przeżyły.

Obecnie Mormoni musieli się podporządkować ustawodawstwu Stanów Zjednoczonych i wyrzec się oficjalnie wielożeństwa. Miasto ich Salt Lake City jest jednem z najbogatszych w Ameryce, gdyż w okolicy odkryto wielkie pokłady ropy naftowej, które Mormoni eksploatują. Dzięki temu cały stan Utah bardzo się uprzemysłowił. Misje Mormonów jeżdżą dzisiaj po całym świecie, werbując nowych zwolenników sekty i zakładając gminy wyznaniowe.

M. H.

LITERATURA, SZTUKA, TEATR, FILM

Miej serce i patrzaj w serce!

(Feljeton obyczajowy).

Bardzo często spotyka się u nas ubolewania na brak serdeczności w obcowaniu z ludźmi znajomemi. Nieraz prasa i opinja publiczna piętnowała opryskliwość i niegrzeczność w obcowaniu z ludźmi nieznajomemi.

W ostatnich czasach coraz częściej daje się spotykać objaw budzącej się wśród ludzi serdeczności. Jak pierwsze kwiaty nowej wiosny po długotrwałej i lodowatej zimie — pojawiają się w pismach wieści o ludzkiej serdeczności. Wieści te zarówno głoszą nam o niej w stosunku do znajomych, jak i do zupełnie, ale to zupełnie obcych jednostek.

Starszy pan z prowincji znalazłszy się w ruchliwej dzielnicy stołecznej zostaje nagle porwany w uściski przez dwuch „serdecznych" nieznajomych. „Drogi, kochany wujaszku!", woła jeden z nich, „co za radość, co za wielka radość! Jakie miłe spotkanie!" I całuje i ściska... Pan z prowincji wzruszony tym wylewem serdeczności nie broni się i nie cofa: uprzejmie wyjaśnia tylko, że to pomyłka, że jest wzięty za kogo innego, że nie jest wogóle, nie był i nie zamierza być niczyim wujaszkiem. Młodzieńcy, skonfundowani tem qui pro quo, usprawiedliwiają się, przepraszają, tłomaczą i — odchodzą. Dopiero wówczas „drogi wujaszek", spostrzega, że w czasie uścisków i powitań stracił pugilares.

Dama w wieku balzakowskim (około siedemdziesiątki), która śniła przez życie całe o tem, by znaleźć się w czyichś objęciach (o jakże krótki życia sen!: lat siedemdziesiąt kilka — to, jak mówi poeta — jedna chwilka...) nagle staje się przedmiotem wylewu serdeczności jegomościa, który ją tkliwie nazywa ciotunią. Dama nie wymyka się z objęć. Daje się dobrze, mocno wycałować siostrzeńcowi. Potem dopiero probuje wyjaśnić, iż zaszło „zdaje się" nieporozumienie. Jegomość przeprasza — odchodzi. Ciotunia poczyna wrzeszczeć: niema torebki! O naiwności ludzka! Czyż uścisk serdeczny nie jest wart więcej od marnej torebki, choćby w niej były nawet pieniądze? Czyż podły pieniądz tak już zatruł dusze ludzkie, iż nie są one w stanie wzruszać się żadnym objawem szczerego serca?

Cokolwiekbądź sądzilibyśmy o tych rzeczach — dawna serdeczność zaczyna się powoli odradzać. Na ulicach rozbrzmiewać poczynają czułe okrzyki, ludzie padają sobie w ramiona... Że ten i ów potem musi lecieć do komisarjatu — to już ludzka przekora i talent psucia sobie dobrowolnie wszelkich radości na tej ziemi. I po co to? I tak nikt nikogo nie znajdzie. Pugilares czy torebka — zbyt to nędzna rzecz, by się dla nich narażać na choroby wątrobiane.

Szczególnie często objawy serdeczności kierowane są na ulicy w kierunku osób posiadających dolary lub też przybyszów zza morza. Widać w tem miły objaw gościnności i kurtuazji dla cudzoziemców, albo dla rodaków wracających z dalekich krain do ojczyzny. Serdeczność taka niejednemu z podróżników łzy z oczu wyciska. Rozwiera ramiona, jakby chciał wszystkich przycisnąć do łona... Wie, że jest brany za kogoś innego, ale to nic, to zupełnie nic... Wita się, ściska, raduje! A potem nagły chwyt trzeźwości, ohydny odruch realizmu, spadnięcie z obłoków na ziemię: gdzie portfel? gdzie pieniądze?.. Wstrętny, brzydki odruch... Czy myślicie, że was ściskano dla waszych głupich pieniędzy, że was nazywano „kochanym wujaszkiem" lub „drogą ciocią" dla waszego portfelu czy też wątpliwej wartości torebki? A choćby tak było — to objaw serca jest objawem serca, a pugilares — pugilaresem. „Serce nie sługa, nie zna co to pany!"

Jeżeli więc ktoś na ulicy odezwie się do Was, drodzy Czytelnicy, serdecznie, jeżeli porwie was w swe objęcia i pocznie całować — pamiętajcie o tem, iż jest to triumf budzącej się w ludzkich sercach szczerej serdeczności — nie zapomnijcie jednak równocześnie o pugilaresie, zegarku, portmonetce lub czemś podobnem takiem. Trzymajcie to mocno i zdecydowanie w garści, a wówczas serdeczny nieznajomy może was ściskać do woli. I choćby was nazwał „wujaszkiem" lub „ciotunią" — dziura się w niebie nie zrobi. Wytłomaczycie mu potem, iż padł ofiarą pomyłki. Ale wy nie padniecie, a to najważniejsze.

Juljan Ejsmond.

TEATRY ŁÓDZKIE

TEATR MIEJSKI.

„Księżniczka Turandot" w przeróbce Emila Zegadłowicza.

Wybór sztuki, dokonany przez dyr. Gorczyńskiego dla inauguracji sezonu teatralnego, był tem oryginalny i odbiegający od tradycji, że zamiast utworu z rodzimego wielkiego repertuaru, ujrzeliśmy poetycką wprawdzie i przez wielce utalentowanego poetę polskiego napisaną — ale tylko przeróbkę. Jest w niej jednak tyle doskonałych walorów subtelnie wyczutego humoru komedji dell'arte i jej zupełnie swoistego stylu, polegającego na mieszaninie najbujniejszej fantazji ze swawolną arlekinadą, taki szczery i głęboki artyzm pomysłu i wykonania, że bez zastrzeżeń zasługiwała na zaszczytne miejsce pierwszego w sezonie widowiska, jakie jej dyrekcja Teatru Miejskiego przeznaczyła.

Commedia dell'arte, to specjalny włoski typ sztuki, improwizowanej przez autorów-aktorów wobec publiczności. Nazwa jej przypisywana jest temu, iż wykonywana była przez aktorów zawodowych. Inaczej nazywała się „commedia a soggetto", co lepiej jeszcze charakteryzowało jej odrębny zupełnie rodzaj, polegający na tem, że pisany był tylko scenarjusz, djalog zaś pozostawiony był pomysłowości wykonawców, z których czterej główni i stereotypowi, właściwi twórcy pomysłu, tworzyli łącznik sceny z widownią oraz wypełniali sami wszystkie możliwe luki akcji. Mieli maski i stroje zawsze stereotypowe, ściśle ustalone. Styl, wytworzony przez ten swoisty zupełnie, z ludowego humoru zrodzony rodzaj gry scenicznej, przetrwał wieki, bo zapoczątkowany w 16 w., dopiero w połowie 18-go zaczął zanikać zarówno w swej ojczyźnie, jak we Francji i w Niemczech. Powrócił jednak w postaci niezapoznawalnych wpływów znowu w drugiej połowie 19-go w kabarecie i rewji z nieodzownym conferencierem, lub compèrem i commèrą, później zaś jeszcze, jako odrębny rodzaj pisarski — w pozbawionym djalogu scenarjuszu filmowym.

Swą wielką siłę pociągającą rodzaj ten wykazał w tem, iż stale pisarze dramatyczni chętnie doń powracali, a poeta tej miary, co Fr. Schiller, specjalnie dla prowadzonej przez Goethego sceny weimarskiej przerobił tragikomiczną baśń poety weneckiego hr. Carlo Gozzi, by dać rozmiłowanej w grze maskowej publiczności dobrą strawę. Zresztą i Gozzi sam stworzył ją dopiero w połowie XVIII w., zatem tylko nadał jej formę literacką, wzorowaną na dawnej komedji dell'arte. Trzecim wzorem Zegadłowicza był według afisza Burggraff, którego nazwisko jest mi niestety obce.

By ocenić zasługę i miarę własnej twórczości poety polskiego trzebaby porównać utwór jego z jego wzorami. Ale i bez tego stwierdzić można niezawodnie, że Zegadłowicz był nietylko tłumaczem, ale i współtwórcą. Poznać to po plastyce postaci, po świetnie dostosowanym do stylu języku, zarówno w prozie jak w wierszu, po najwidoczniej silnie od wzorów odbiegającej budowie, po doskonałej, świeżej barwie całości.

Treścią baśni jest bohaterska walka pięknego królewicza o rękę księżniczki chińskiej, Turandot, wymagającej od oblubieńca rozwiązania trzech zawiłych zagadek, jako ceny za swą rękę. Pokrewieństwo z trzema skrzynkami Porcyj z „Kupca Weneckiego" każe domniemywać się wspólnego jakiegoś pochodzenia obudwu tych wersyj. Tylko, że nieszczęśni pretendenci do ręki Porcyi po nieudanym wyborze wracają sobie skąd przybyli, podczas gdy zawodnicy o Turandot muszą przypłacić głową nierozwiązanie zagadek. Porcya zresztą działała z woli swego ojca, Turandot zaś, wbrew woli ojca, jest posłuszna tylko własnemu okrucieństwu i rzekomej nienawiści do rodu męskiego. Królewicz Kalaf nie boi się wszakże ciężkiej próby. Ujrzawszy konterfekt przepięknej księżniczki nie może zrozumieć życia bez niej i rad położyć głowę, gdy jej nie zdobędzie. Oczywiście jednak po szeregu niebezpieczeństw i intryg — zdobywa ją.

Rzecz wymyśliły i inscenizują cztery figury: Pantalon, Tartalja (Dottore), Traffaldino (Arlekin) i Brighella. Oni to tłumaczą ją publiczności, oni przedstawiają jej swych aktorów, oni czuwają nad składnem wykonaniem, oni dbają o rozwianie smętnych nastrojów chwil tragicznych. I sami przytem bawią się setnie, kpiąc ze siebie i z publiczności i persiflując towarzyszy.

Role ich dostały się pp. Woskowskiemu, Zniczowi, Karczewskiemu i Winawerowi. Pierwsi dwaj usprawiedliwili w pełni opinję, jaką cieszą się u publiczności łódzkiej, p. Woskowski smacznym i błyskotliwym, p. Znicz pełnym subtelności humorem. P. Karczewski, doskonale uzupełniający słowa swej roli zwinną akrobatyką, okazał się artystą pomysłowym i stanowić będzie niezawodnie nabytek nader pożyteczny. P. Winawer, bardzo dobry w geście i mimice, świadczącej o dobrem zrozumieniu postaci, niestety zawodził w dykcji. W akcie persiflażu cała ta czwórka była wprost niezrównana.

Z postaci baśni na pierwsze miejsce wysunął się p. Mroziński, jako cerasz chiński. Rola ta, w każdym szczególe polegająca na groteskowej szarży, dogodziła mu nadzwyczajnie. Utrafiwszy we właściwy ton, szarżował z świetnie uświadomioną linją. Bez zarzutu wywiązał się ze swego zadania również p. Dobiesław Damięcki, jako Kalaf. Był mocny, męski, junacki, a przytem udało mu się nie popaść ani na chwilę w męczącą koturnowość. Dobry epizod stworzył p. Fabisiak, mniej dobry p. Woszczerowicz, widomie za młody dla roli zgrzybiałego starca.

O p. Skrzydłowskiej nie należy wydawać sądu po tej roli, która stanowczo nie była dla niej odpowiednia i tylko w kilku momentach lirycznych dała jej pole do szczęśliwego popisu. Niepodobna jej było uwierzyć, że z lubością patrzy na spadające głowy i że szczerze nienawidzi rodu męskiego. Prawda, że wobec pogodnego końca sztuki niełatwo jest utrafić w ton Andromachy na początku. P. Skrzydłowska jednak trudności tej pokonać nie zdołała. P. Krzywicka, jako Adelma, dała postać bardzo chybioną i całkowicie opacznie zrozumianą. Słowa padały z jej ust, jak sople lodu, zamiast buchać płomieniem. Bardzo ciepło i smacznie odtworzyła postać niewolnicy p. Tatarkiewiczówna, dobry epizod, wolny od szarży, dała p. Łapińska.

Całość przygotowana, wyreżyserowana i wystawiona ze zwykłą starannością. Reżyser p. Tatarkiewicz jednak niestety zanadto szczędził ołówka: kilka skreśleń bardzoby sztuce wyszło na dobre. P. Mackiewiczowi świetnie się udały nader pomysłowe dekoracje i męskie kostjumy. Niewieście mniej. Tańce mierne i niekoniecznie potrzebne, muzyka bardzo słaba.

emb.

Pieśń nad otchłanią

(O POEZJACH MARJI GROSSEK-KORYCKIEJ)

I.

O książkach Grossek-Koryckiej trudno pisać „recenzje". Trzeba do nich podejść nie tyle jak do zjawiska literackiego, ile raczej jak do kosmicznego zwierciadła, jak do wielkiej bryły zrośniętej organicznie z najgłębszemi pokładami ducha, tam gdzie człowiek graniczy z Bogiem. Nie sonduje się ich wnikliwem, chłodnem narzędziem krytyka. Bucha z nich coś, co każe zapomnieć o metodzie, o przymusie porównawczym, od odrywaniu wartości i szkolarskim rozbiorze.

Mimowiednie krytyk przedzierzga się w myśliciela.

Zapatruje się, podziwem zdjęty w otchłań ludzkiego serca i cierpienia, w przekrój wzniosłości i tragicznego, prometejskiego uniesienia. Podchodząc do ciepłego jeszcze, dyszącego życiem dzieła zmarłej autorki, zrazu nierozgrzany jeszcze, nienastawiony psychicznie, pełny światowego zgiełku i nieuwagi — w miarę wczytywania się nieruchomieje ciałem, a duchem rozkołysany, poczyna wznosić się po szczeblach wysiłku aż na mroźne szczyty, na których ona, poetka, rozmawiała z Bogiem — samotna.

A wtedy gdy się już dotarło do osocza tej duszy, związało z nią sercem i mózgiem, gdy się przejrzało na wskroś przestrzenność i szkielet tej niebotycznej budowli — narzuca się nam przedewszystkiem myśl gorzka i drażniąca, jak uporczywy ból zeba, m y ś l o k r z y w d z i e

Czy to już naprawdę tak być musi, że ludziom wielkim nie danem jest odblasku swej wielkości za życia oglądać? Czy nie nasycą się nigdy współczuwaniem bliźnich? Czy przez to, że się jest naznaczonym znamieniem genjuszu, już wchodzi się w konflikt z chwilą bieżącą, z epoką, z tłumem?

Dlaczego, mimo, że ten konflikt stał się już stereotypem i powtarzać się już nie powinien, znowu odszedł od nas jeden potężny człowiek, któremu działa się krzywda milczenia i niezrozumienia na całej przestrzeni jego życia?

„Pamiętnik liryczny" Marji Grossek-Koryckiej poprzedza znakomita, prawdą i żarem przepojona przedmowa Artura Górskiego. Czytając ją, godzimy się z nią nieomal w każdem słowie (prócz drobnych sprzeciwów, jakie tu i ówdzie mogłaby w ocenie niektórych zjawisk umysłu poetki wywołać). Mimowoli jednak i ona przywodzi na usta pytanie? „Dopiero teraz? Dlaczego?" Przecież byli ludzie, którzy żyli w jej pobliżu, rozmawiali z nią, słuchali jej wierszy. Czyżby nie porwał nikogo z nich ten wielki, niebem pachnący oddech jej Słowa? Leżało obok nich, nabrzmiewało gwiezdną treścią, trawiło się i dławiło sobą mądre, krwawe ziarno, a oni nie wyczuli go, nie wyłusknęli z pod powłoki.

Powiedział Norwid, ten wielki krewniak duchowy Koryckiej:

Ludzie więc chlubią się, że wielkich znali
K'temu jedynie,
Iż nie poznają się na wielkim mali
Pierwej aż zginie.
Podobnież niedźwiedź pierw trupa zakopie
By robył z trumny:...

O Polsko! Ty ciemny, ociężały niedźwiedziu, który mięsistą, nieuważną łapą depcesz najcudowniejsze kwiaty w swoim mateczniku, kiedyż nauczysz się oceniać i uwielbiać p r a w d z i w y m m i o d e m płynące patoki.

II.

Grossek-Korycką cechował niezmiernie wybujały zmysł filozoficzny, to najistotniejsze znamię wielkości. To jedno usprawiedliwia niezrozumienie jej i obojętną wobec niej postawę społeczeństwa, które zmysłu tego nie posiada i — niestety — nie umie myśleć. Ten to zmysł wyczulił jej wzrok tak nieprawdopodobnie na wszystko co ludzkie i pozwolił jej olbrzymiem, macierzyńskiem sercem kobiety objąć nietylko powierzchnię świata, ale i jego otchłanie aż do dna. Harmonijna zbieżność uczucia z rozumem brała na swój warsztat wszystkie formy otaczającego ją stworzenia i w całkowitej samotności cierpiącego ducha wykuwała z nich dzieło życia równorzędnie wypowiedziane tak w „Medytacjach" filozoficznych, jak i w wierszach („Orzeł oślepły", „Pamiętnik liryczny" i t. d.). Dzieło to, rzecz dziwna, wbrew przyrodzonym kobiecie skłonnościom analitycznym, było dziełem intuicyjnej syntezy. Poetka przefiltrowała przez swoje serce cały wszechświat wpleciony w Boga, jak w koło udręki i pozostał w niej osad tytaniczny, kosmiczna esencja, która stała się zkolei wewnętrznym motorem i tworzywem jej wierszy. Ten syntetyczny ogląd, to widzenie z dalekiej perspektywy widzimy w niej wszędzie, choć zawsze inaczej, czy w „Orle oślepłym", czy w „Medytacjach", czy też w „Świecie kobiecym".

O „Medytacjach" nie zamierzam tu pisać wcale, gdyż nie pomieściłyby się one w rozmiarach tego szkicu, jakkolwiek i inne — równolegle wymienione — owoce jej twórczości, wymagają wyczerpującego i wszechstronnego omówienia; wszelako jest to w tak szczupłym rzucie krytycznym niemożliwe. Mimo tego zgóry narzuconego ograniczenia postaram się jednak choć w kilku zdaniach scharakteryzować zasadnicze przejawy jej ducha, którego drogą krzyżową było ustawiczne, a samotne dźwiganie się wzwyż ku twarzy Boga.

Słusznie twierdzi Korycka w „Świecie kobiecym", że genjusz wszczepiony w kobietę czyni z niej postać par excellence tragiczną. Mimo tej śmiało stąpającej nad otchłanią pewności absolutnej, którą przypisuje jej Artur Górski, przeciwstawiając ją lunatycznej, niewidzącej pielgrzymce kosmicznej Wyspiańskiego — Korycka jest indywidualnością przepojoną na wskroś tragizmem. Rozsadza ją żywiołowy, spontaniczny rozrost sił psychicznych przy równoczesnem poczuciu niemożebności całkowitego ich zużytkowania. Nietylko te „obarczenia kobiece", o których po raz pierwszy wypowiedziała się tak dobitnie, wloką się za nią jak łańcuch katorżny. Ona jest sama. Nie słyszy oddźwięku, chociaż go całą duszą pragnie. I chociaż czuje przez łzy dumy i goryczy swoją wielkość swoją przemożną nieugiętość, choć sama siebie nazywa olbrzymem:

Książki,

POWIEŚCI KRYMINALNE WALLACE'A

Edgar Wallace — Szajka Zgrozy — Edgar Wallace — Czerwony Krąg — Edgar Wallace — Potwór — Powieści kryminalne. Tłumaczenie Marcelego Tarnowskiego. Nakładem Instytutu Wydawniczego „Renaissance“ w Stanisławowie.

Zachód żyje pod znakiem powieści kryminalnej i sztuki kryminalnej. W Londynie np. od roku sztuki kryminalne nie schodzą z repertuaru większości teatrów, ten sam objaw widzi się już ostatnio w Paryżu, a szalone powodzenie, jakiem cieszyło się kilka amerykańskich sztuk kryminalnych, wystawionych w Berlinie w teatrach Reinhardta, każe przypuszczać, że ta fala upodobań kryminalistycznych, która zaczęła się w Ameryce, idzie systematycznie na zachód i lada dzień dotrze i do nas.

Wśród autorów, reprezentujących ten rodzaj twórczości, najbardziej poczytnym i najbardziej lubianym jest bezwątpienia amerykanin Wallace. Każda jego nowa powieść jest rozchwytywana i każda niemal przerabiana na scenę i na film. Powodzenie, jakiem cieszy się Wallace, jest o wiele większe niż było swego czasu powodzenie Conan Doyle'a, twórcy Sherlocka Holmesa. Doyle stworzył swego rodzaju naukowy system prowadzenia śledztwa i bohaterem jego powieści i nowel był zawsze jeden i ten sam niedościgniony mistrz tego systemu Sherlock Holmes. Wallace nie tworzy żadnego systemu. Opowiada nam zawsze historję tak niesłychanie fantastyczną i tak zawikłaną, że chwilami dostaje się zawrotu głowy. Nie idzie także utartemi szlakami dotychczasowej sensacji kryminalnej i nie wprowadza nas do knajp apaszowskich, lochów, piwnic, melin złodziejskich, nie pokazuje nam wymyślnych tortur ani nie każe jakimś nadprzyrodzonym siłom opiekować się jego dedektywami i ratować ich w ostatniej chwili z opresyj. Stąd mimo całej nieprawdopodobnej fantastyczności fabuły, powieści Wallace'a, nie oburzają zdrowego rozsądku i dlatego pewnie cieszą się taką wziętością.

W utworach swoich Wallace dopuszcza wszystkie metody śledztwa, uznaje wszystkie i wszystkim oddaje sprawiedliwość. Nawet ostatni policemen nie jest w tych powieściach figurą komiczną, pośmiewiskiem opryszków i złodziejaszków, stworzoną przez Pana Boga poto, aby ją za nos wodzono i brzydkie kawały jej płatano. Przeciwnie każdy funkcjonarjusz policji kryminalnej traktowany jest jako żołnierz, pełniący ciężką służbę z całem poświęceniem i według najlepszych sił. Ten szczegół uderza bardzo sympatycznie u Wallace'a.

Instytut Wydawniczy „Renaissance“ dał czytelnikowi polskiemu trzy z najgłośniejszych powieści Wallace'a. „Szajka Zgrozy“, to historja bandy fałszerzy dokumentów bankowych, „Czerwony Krąg“ osnuty jest znowu na przygodach genjalnego szantażysty, a wreszcie „Potwór“ wprowadza nas za kulisy handlu narkotykami.

Czyta się te rzeczy naprawdę z zapartym oddechem. Akcja sposobem amerykańskim skonstruowana jest w ten sposób, że do ostatniej karty trudno się domyśleć właściwego rozwiązania.

Podobno Chesterton powiedział, iż powieści kryminalne Wallace'a uważa za najlepsze, jakie kiedykolwiek czytał. Można bez zastrzeżeń zgodzić się z tym sądem wielkiego pisarza. Niema bowiem w tych powieściach pierwiastka złego, niema ani cienia gloryfikacji zbrodni i zbrodniarza, niema nawet próby usprawiedliwienia go. Zbrodniarz jest w tych powieściach na właściwem dla siebie miejscu — poza nawiasem społeczeństwa — jest niebezpiecznem, drapieżnem zwierzęciem, na które polują ci, którym straż nad bezpieczeństwem społeczeństwa powierzono. Ten niezaprzeczalnie moralny podkład kryminalnych fantazyj Wallace'a nietylko że nie osłabia napięcia i dramatyczności akcji, ale przeciwnie zwiększa je w stopniu o wiele większym niż gloryfikacja zbrodni. To właśnie jest cechą talentu tego pisarza.

Wszystkie trzy powieści wydane zostały bardzo starannie i w bardzo ładnej szacie graficznej. Szwankuje nieco tłumaczenie i korekta.

Nie ulega wątpliwości, że w bardzo niedalekiej przyszłości powieści te czytane będą i u nas przez wszystkich. Bo też trudno wyobrazić sobie lżejszą, a jednocześnie bardziej emocjonującą lekturę w chwilach odpoczynku, zwłaszcza po intensywnej pracy umysłowej. Nic, nawet najcudowniejszy spacer ani przejażdżka samochodem, nie potrafi tak radykalnie zmienić toku myśli, usunąć podniecenia i naprężenia nerwowego jak książka Wallace'a.

PODRĘCZNIKI.

E. Deb. **Nouveau cours pratique de francais.** Première partie. Cena zł. 6. Wydawnictwo M. Arcta 1928.

Autor, wytrawny pedagog, zna doskonale właściwości ucznia polskiego i do jego potrzeb dostosował swój system; łatwy i bardzo jasny układ, celowe stopniowanie wiadomości pozwalają na nadzwyczaj szybkie opanowanie tak trudnego, a pięknego języka. W szkołach średnich przy innych podręcznikach, odda metoda E. Deba wielkie usługi jako książka pomocnicza.

Samoukom książka ta zastąpi wszystkie inne źródła, nie potrzebuje bowiem dopełnienia słownikiem, ani gramatyką. Od pierwszej lekcji uczeń, zamiast przyswajać sobie słówka, których nie potrafi zastosować, uczy się całych zdań i w szybkim czasie może prowadzić rozmowę.

* * *

Dla zainteresowań specjalnych, szczególniej dla tych, którym się „nie udały“ zdjęcia wakacyjne, jest:

Podręcznik fotografji. Przewodnik praktyczny dla amatorów i zawodowców. Opracowany przez T. Barzykowskiego i J. Jaroszyńskiego, pod redakcją St. Schönfelda. Z rycinami i tablicami. Wydanie III. Cena zł. 8 — w opr. zł. 11. Wydawnictwo M. Arcta 1928.

Treść: Objektyw. Przesłona. Migawka. Kamera. Ciemnica i jej urządzenie. Materjał negatywny. Zdjęcia. Negatywy. Płyty barwne. Pozytywy. Powiększenia. Sposoby sporządzania odbitek. Kinematografja amatorska. Słowniczek.

Zarówno początkujący, jak już wykwalifikowany fotograf znajdzie tu cenne wskazówki do wydoskonalenia poszczególnych etapów fotografowania. Jasny wykład uprzystępniają jeszcze liczne ryciny oraz szereg tablic, wykresów i przepisów. Jest to nowe opracowanie znanego, popularnego podręcznika fotografji Vogla, wydane pod kierownictwem „Polskiego Towarzystwa Miłośników Fotografji“.

* * *

Dla tych zaś, którzy lubią grzyby, a nie chcą umrzeć nagłą śmiercią, napisał pierwszy uczony „grzybiarz“ polski (sława europejska) praktyczny, ciekawy i rzeczywiście ładny wstęp do grzyboznawstwa:

F. Teodorowicz. *Dziwy świata grzybowego.* O mocarnej pieczarce. — Owady a my. — O grzybie dziwaku. — Mądre łabędzie. — Wizyta u muchomorów. 50 rys. według akwarel z natury artystów-malarzy Adama Ciompy i Zygmunta Wierciaka. Cena w oprawie zł. 4.80. Wydawnictwo M. Arcta 1927.

Ta książka wprowadza nas w najważniejsze zagadnienia grzyboznawstwa i opowiada o najciekawszych może i najsmaczniejszych grzybach, chociaż o niektórych ogół nawet nie przypuszcza, że są jadalne. Jednak grzyby — to pokarm nadzwyczaj pożywny, zawierający wielkie ilości fosforu i innych pożytecznych składników. Pokarm bezpłatny, bo często wystarczy tylko sięgnąć po niego ręką, a obfity w Polsce niezmiernie.

Historje z wiedeńskiej kawiarni.

Podobnie jak Paryż i Berlin, ma także i Wiedeń swoje kawiarnie literackie. Miał je zawsze i może nawet wcześniej niż jakiekolwiek inne miasto.

Poeta Otfryd Krzyżanowski, galicjanin osiadły w Wiedniu, należał przez długie lata do inwentarza literackiego kawiarni „Central“. Przychodził do kawiarni jako jeden z pierwszych gości przed południem i pozostawał aż do zamknięcia lokalu. Był bardzo biedny. Żywił się przeważnie bułkami, które zjadał w kawiarni i za które za milczącą zgodą kelnerów nie płacił. Od czasu do czasu trafiał się jakiś mecenas, który fundował kanapkę z szynką i szklankę wina. Wtedy były gody. Pewnego dnia Krzyżanowski nie przyszedł. Zauważono to, ale nie przywiązywano do tego szczególnej wagi. Nie przyszedł także następnego dnia i trzeciego także. Wzbudziło to zaniepokojenie. Leo Perutz pierwszy się zaniepokoił. Może Krzyżanowski jest chory i potrzebuje pomocy? Postanowiono rzecz zbadać, ale okazało się, że żaden z pośród znajomych, z którymi od wielu lat przesiadywał w tej kawiarni nie zna jego adresu. Następnego dnia Perutz udał się do policji i dowiedział się, gdzie Krzyżanowski mieszka. Okazało się, że mieszka daleko na przedmieściu. Zajmował małą komórkę w mieszkaniu jakiegoś szewca. Cztery dni przedtem zachorował. Na drugi dzień dał ostatnią dwudziestohalerzówkę terminatorowi i polecił mu zatelefonować do kawiarni o pomoc. Dziwnym jakimś zbiegiem okoliczności wiadomość ta do kawiarni nie dotarła. Dwa dni później Krzyżanowski zmarł na grypę. Pozostawił kilka bardzo ładnych wierszy i wspomnienie oryginała.

W kawiarni „Central“ cyganerja literacka zajmowała tylko jedną salkę, t. zw. „dziedziniec arkadowy“. Swego czasu była w tem miejscu klatka schodowa i przedsionek. Po przerobieniu lokalu na kawiarnię urządzono w tem miejscu salkę wysoką na cztery piętra, nakrytą szklanym dachem. Dach spoczywa na filarach dawnej klatki schodowej i stąd nazwa „dziedziniec arkadowy“.

W tej salce zbierali się sami stali goście. Obcy nikt tam nie przychodził, a jeżeli kiedyś zabłąkał się ktoś i był przytem duchowo predysponowany do takiego środowiska, stawał się stałym gościem i nie opuszczał ani jednego dnia, by kilka godzin tam nie spędzić.

A oto prawdziwe zdarzenie: Codziennie, punktualnie pięć minut po czwartej przychodził do kawiarni pewien radca z sąsiedniego ministerstwa oświaty. Zawsze znajdował swój stolik zarezerwowany i zawsze siadał na tem samem krześle. Minutę później kelner Jean stawiał przed nim filiżankę białej kawy, koszyk z pieczywem i wieczorne wydanie „Neues Wiener Tageblatt“. Powtarzało się to codziennie przez dwadzieścia lat. W międzyczasie radca się zestarzał i pewnego dnia poszedł na emeryturę. Jako emeryt osiadł w Gracu. Pewnego dnia — dziesięć lat później — radca przyjechał do Wiednia na pogrzeb jakiegoś krewniaka. Po południu, gdy zbliżała się czwarta godzina, staruszek postanowił odwiedzić swój stary lokal. Stolik jego był wolny — usiadł przy nim. Po minucie zjawia się Jean i przynosi mu: filiżankę białej kawy, koszyk z pieczywem i wieczorne wydanie „Neues Wiener Tageblatt“...

Z największych jestem ja róż w ducha sadzie,
Z największych jestem ja gwiazd w gwieździej gromadzie,
Boskości jestem ja kroplą twoją już wielką!

to jednak ten jej podgłębny, przytajony tragizm wyczuwamy na każdej karcie jej książek. To ona sama jest tym „Orłem oślepłym“, o którym wiersz postawiła jako motto na czele tomu poezyj, uważanego przeze mnie za trzon i jądro jej twórczości, pomimo trudnej do rozcięcia skorupy, przez którą za życia jej nie przedarł się ani tłum, ani krytyka.

III.

„Orzeł oślepły“, tom wierszy wydany za życia autorki, aczkolwiek zapomniany i niedoceniony, wiąże się w jeden węzeł z wszystkiemi władzami jej duszy. Później może wypowiedziała się Korycka obficiej i wszechstronniej, może rozjaśniła nieco pomrocz kształtów, w jakie zakuwała swą myśl, otulając się nią jak połą płaszcza przed szyderczem okiem profanów. Tu jednak była sobą najkrwawiej i najbezpośredniej.

Tom ten, to rozgrzana szaleństwem twórczem, acz niepodatna bryła, istne świadectwo męki. Tu, na gorącym uczynku jakby, przychwytujemy tworzącego, miotającego się w głuchym bólu człowieka.

Formy, w jakie oblepia poetka swoje idee, są szorstkie, chropawe, niekiedy jątrzące zmysł formalny współczesnego czytelnika. Dużo w nich przypadkowości, tak jakby zrzucano w otchłań odlewy niezupełne, stygnące w locie w spiżowe prymitywy. Dużo w nich swoistej, jakby Micińskiemu pokrewnej, patetycznej maniery, oraz niepoprawności języka, którym Korycka podobno nie władała swobodnie (rusycyzmy), dużo wreszcie trudnych do wchłonięcia, zuchwałych nowotworów, niezahaczających w zamierzony sposób naszej wyobraźni.

A jednak czuć w tem jakąś prometejską robotę, barowanie się z Nieodgadłem, rozmach zawisły w próżni, rozpaczliwe miotanie się w nieuchwytach. Wydaje się, jakby autorka ustawicznie dosięgała czegoś szponami myśli, aby z krzykiem ujrzeć Je, jakby wicher prześlizgujący się między palcami.

Czytając ten tom widzi się całe rusztowanie jej systemu myślowego. Przeziera przez nie — gdy się w nie wpatrzymy uważnie — ogromna, z bronzu odlana budowla jej świetnej głowy. Jest to ten krwią ociekły, bolesną walką wypracowany światopogląd Koryckiej osadzony na postumencie wieczności, jak żywy zegarowy mechanizm.

Trzon jego to poczucie cierpienia (*„ból się w tożsamość z bytem splata“*), usadowionego w samem sercu Kosmosu, przenikającego całą przestrzeń zjawisk. Jest ono tu wyolbrzymione wprost do ekstazy. Poetka czuje je zarówno w ludziach, jak w kamieniach, w gwiazdach i drzewach. Każdy przedmiot przynależący do świata materji, w odczuciu jej zwija się i krzyczy w potwornej męczarni. Świadomość jej torturują widma szpitali i grobów, w każdej sekundzie słyszy rzężenie czyjegoś konania. Straszliwy kat przyrody, jak ciężki wóz gna przez wieczność miażdżąc i tratując kołami „główki dziecięce, piersi ptaszęce, skrzydła motyle“. Kwiaty więdną, toną okręty i drzewa chore, aż po rdzeń stoczone rakiem idą ku niej, jak szpalery szkieletów. Wszystko to zlewa się dla niej w jeden niemilknący, ogłuszający ryk cierpiącego świata. Koroną tej bezbrzeżnej Golgoty jest Bóg.

Jego to przezierają nawskroś głodne, nieustraszone oczy i widzą w nim odwieczne zlewisko przeciwieństw, nieodwracalną zasadę bytu: pół światła i półcienia, a nadewszystko w bezdeń rozdętą mękę. Bóg cierpi, patrząc na mękę świata zawinioną przez siebie. On sam szlocha budując przez całą wieczność wieżę Babel ze stosu kości udręczonych stworzeń.

Widzieć gasnące słońca... i zapalać słońce!
I wobec lądów tonących... lepić ląd?!

Zarówno w kamiennych urwiskach, jak w lwach pustynnych widzi ona koło udręki Bożej:

Twój ryk, twe łzy. — Ja wiem, to Ty w nich cierpisz, to Ty!...

A potem ten ustęp zaczynający się od słów:

Jak wiatr wypełniający wonią wnątrz domóstwa
Nawskroś budowę świata przewiewa tragizm Bóstwa.

W pośrodku tego theatrum męczarni tkwi ona wszystkiemu współczująca i przytomna. Ale to mało...

To mało: patrzeć, to boli: czuć.
Chcę się z tem zlać... chcę się tem stać... z tem skuć.
...Chcę wlać swą treść w tę noc, w te ranki...

I tu Korycka dźwiga się na jeszcze wyższy szczebel. Tu już boska świadomość w niej, „przez ludzką świadomość się przeciska“ i w duszy jej „organ dla siebie żłobi“. Ona już nie przypatruje się, nie słucha, lecz „całą odpowiedzialność błędu czuje na sobie“. Jest to jakby macierzyństwo ziemi, z którego się kaja:

Tylko w największego cierpienia mego pokucie,
Mogę ukoić to palące, współwiny we mnie uczucie.
...Za Twoim to, a więc i za moim rozkazem
Jest taki zły — taki smutny — i taki jest kaleki...
Nie mogliśmy inaczej snać go woleć
Musimy więc nawpół dziś nad nim boleć.

Jest w tych ustępach pogłos psalmistów, szum Pieśni nad Pieśniami, tak jak oszołamiający oddech Słowackiego uderza z kart, które otwierają te wiersze:

Cień z zasłoniętą twarzą stał długo na morzu
Chwiany wiatrem, co wzrostu przybawia i skróca
Aż runął na wznak cały. Jak się rozpacz rzuca,
A wtenczas ciemność straszna stała się na dworzu,
Morze się przewróciło po dwakroć na łożu,
Jak ranny tygrys od boleści gwałtu
I czuć było po ryku, że mu wstąpił w płuca
Ryk zranionego twórcy co uchybił kształtu.

Jerzy Braun.

BIEŻĄCE ZAGADNIENIA GOSPODARCZE i KRONIKA

Przekreślona Łódź

Wielką wrzawę w opinji całej Łodzi wywołał zamiar Ministerstwa Komunikacji wycofania dalekobieżnych pociągów, łączących stolicę z Niemcami, Belgją, Francją i Anglją, ze szlaku, prowadzącego przez Łódź, i skierowania ich przez Kutno z pominięciem największego polskiego ośrodka przemysłowego.

Nie można się dziwić zdenerwowaniu, wywołanemu tą wiadomością, z której wynikało, że istnieje zamiar pozbawienia Łodzi włókienniczej tej jedynej komunikacji bezpośredniej z zachodem, z którym złączona jest niezliczonemi ogniwami stosunków gospodarczych. Jasnem jest przecie, że kontakt przemysłu łódzkiego z jego dostawcami surowców i kredytów wymaga stałej, ożywionej w obudwu kierunkach komunikacji, wbrew czemu miasto to jest pod względem komunikacyjnym we wszystkich kierunkach z wyjątkiem tego jedynego właśnie traktowane po macoszemu. Można było obawiać się najgorszych komplikacyj z tego, że interesenci łódzcy zmuszeni będą jeździć do Kutna i wyczekiwać na pociągi, a zwłaszcza, że interesenci zagraniczni wśród nocy, lub o brzasku musieliby wysiadać w Kutnie, lub jeździć przez Warszawę do Łodzi. Również pod względem moralnym skreślenie Łodzi z mapy wielkiego szlaku międzynarodowego słusznie odczuwane jest, jako cios dotkliwy dla tego wielkiego ogniska życia gospodarczego.

Już i tak przecie władze kolejowe robiły zawsze, co mogły, dla utrudnienia komunikacji z Łodzią zarówno Polsce samej, jak i światu. Połączeń bezpośrednich z południem i wschodem wogóle niema, również godziwego połączenia z Gdańskiem, umożliwiającego jazdę w nocy, a załatwienie interesów za dnia, niema także. Dworce kolejowe utrzymywane są skwapliwie na poziomie, wymaganym przez naczelne wskazanie zachowania zewnętrznych pozorów zapadłej dziury. Jeżeli dworzec Kaliski jest tylko lichym dworcem prowincjonalnym, to Warszawski, czyli t. zw. Fabryczny, jest jednym wielkim skandalem, niewygody, ciasnoty, niechlujstwa i nędzy, urągającym najprymitywniejszym wymaganiom już nie komfortu i estetyki, ale najelementarniejszej wygody. Nadomiar, na całej li*nji od Warszawy do granicy czeskiej jedynym niemurowanym, jedynym brudnym, pozbawionym dachu, poczekalni, bufetu dworcem jest właśnie dworzec Koluszkowski*, na którym podróżni z Krakowa, Sosnowca, Katowic, Wiednia, Budapesztu, Czech, Rumunji, Jugosławji, przesiadać się muszą dla przejścia z jednej strony na drugą i zajęcia miejsc w plugawych, brudnych, wyszarzanych, nieoświetlonych i nieogrzanych pociągach lokalnych.

Cóż dziwnego w tych warunkach, że nowy minister komunikacji w swym świeżo odbytym pierwszym objeździe inspekcyjnym po kraju, skwapliwie ominął Łódź? Nie chciał jej widzieć, by urzędowo pozostawać w nieświadomości co do opłakanego stanu jej urządzeń kolejowych. Nie znaczy to, że nie znał ich dotąd, możliwem jest bowiem, że jako dyrektor Tramwajów warszawskich był już kiedyś w Łodzi. Ale odkąd został ministrem ma niejako uświęcony już tradycją obowiązek ignorowania tego miasta i lekceważenia go. Że zaś ze swej wczorajszej działalności prywatnej zachował być może jeszcze pewne nieskażone pojęcia o obowiązkach przedsiębiorcy względem płacącej za jego usługi publiczności — więc wolał nie narażać ich jeszcze na próbę przez oglądanie urągowiska, jakie w tej dziedzinie stanowi węzeł łódzki.

Niepodobna w tych warunkach dziwić się powszechnemu oburzeniu i rozgoryczeniu. Dopiero późniejsze wyjaśnienia nieco uspokoiły ogólne wzburzenie. Jedno z pism łódzkich otrzymało wiadomość, że zmiana rozkładu w sensie pominięcia Łodzi i skierowania pociągu dalekobieżnego na Kutno ma na celu wydatne podwyższenie ruchu tranzytowego przez Polskę. Rzekomo dotąd szlak na Rygę ubiegał nas stale we współzawodnictwie, ponieważ tamtędy dociera się do Moskwy o kilkanaście godzin wcześniej przy tej samej porze wyjazdu z Paryża. Rzekomo oszczędność kilkudziesięciu minut na przejeździe przez terytorjum polskie umożliwi przyśpieszenie przybycia do Moskwy o kilkanaście godzin, gdyż da możność ułożenia rozkładu dogodniejszego, niemożliwego obecnie z powodu zajęcia linij rosyjskich innemi pociągami przy dotychczasowem późniejszem przybywaniu pociągu paryskiego do Warszawy.

Niebardzo coprawda rozumiemy logikę tych konsekwencyj, ale przyjmujemy je na wiarę i przyznajemy, że motyw: przeciągnięcie tranzyta na linje polskie, jest bardzo poważny.

Nie można jednak żadną miarą zadowolnić się tem, bo cały szereg wątpliwości nakazuje krytycznie ustosunkować się do tak czy owak niezmiernie groźnego skreślenia Łodzi z jedynej trasy międzynarodowej, na której leży.

Przedewszystkiem tedy, jeżeli momentem decydującym jest sprawa zaoszczędzenia kilkudziesięciu minut na terytorjum polskiem, to czy naprawdę niema sposobu osiągnięcia tego samego efektu, bez uciekania się do tak wielce szkodliwej ostateczności? Przecież i przyśpieszenie biegu, i skrócenie postojów na stacjach obojętnych, a zwłaszcza skrócenie fantastycznie długich postojów na obu granicach, mogłoby z łatwością doprowadzić do tego samego celu.

Zarówno rewizja paszportów, jak i rewizja bagażów mogłaby być dokonywana w czasie biegu pociągu, tak, jak to się dzieje w tylu innych krajach. Na tem niewątpliwie możnaby oszczędzić znacznie więcej czasu, aniżeli na skróceniu szlaku przejazdu o 70 kilometrów.

Niepodobieństwem jest oszczędzić Ministerstwu ciężkiego zarzutu, że trudność, wynikająca z potrzeby skrócenia przejazdu przez terytorjum polskie, usiłuje rozwiązać idąc po linji najmniejszego oporu i z zagrożeniem najpoważniejszych interesów nietylko lokalnych łódzkich, ale i ogólno-państwowych. Tylko zaślepienie bowiem może zapoznawać olbrzymią doniosłość propagandy dla kraju, jaką ma przepuszczanie wielkich szlaków komunikacyjnych przez tereny najbardziej uprzemysłowione. W przejeździe przez takie tereny każdy podróżny przez samo wyglądanie oknem pobiera sąd o uprzemysłowieniu, a zatem i gospodarczym poziomie kraju. Na szlaku obecnym każdy obcy, widząc Ostrów, Kalisz, Zduńską-Wolę, Pabjanice, Zgierz, a zwłaszcza imponującą ilością kominów Łódź, rozumie, że nie wjechał do jakiegoś pustynnego kraju, lecz do państwa o własnem, bujnem życiu gospodarczem. Przerzucenie tego szlaku na Strzałków — Kutno tego wrażenia przejezdnych pozbawi, gdyż na całej drodze nie zobaczą nic, prócz wsi i małych nędznych miasteczek. Skreślenie Łodzi z międzynarodowych rozkładów jazdy, jako miasta, wielkiemi szlakami objętego, *jest z punktu widzenia rozumnej propagandy największym błędem, jaki popełniony być może* i jeżeli Ministerstwo Komunikacji tego zrozumieć nie chce lub nie może, to głos w tej sprawie powinno zabrać Ministerstwo Przemysłu i Handlu. *Żadne kompromisy nie mogą być brane pod uwagę, bo nic tej olbrzymiej szkody, jaką byłoby wymazanie Łodzi z mapy wielkich szlaków kolejowych, powetować nie jest w stanie.*

Dotyczy to w równej mierze zwykłego pociągu pośpiesznego, jak expresu „Lux", który nietylko jako najlepszy środek komunikacyjny ma ogromne znaczenie dla połączeń Łodzi ze światem i świata z Łodzią, ale również jako moment propagandowy odgrywa poważną rolę przez sam fakt, że Łódź należy do rzędu tych niewielu stacyj, na których pociąg ten się zatrzymuje.

Tak więc, nie negując bynajmniej powagi motywu, nie możemy jednak dać za wygraną i zadowolnić się otrzymanemi wyjaśnieniami, nie możemy bowiem żadną miarą wyrzec się zapatrywania, *że pominięcie Łodzi w żadnym razie wogóle nie może i nie powinno być brane w rachubę.*

Na całym świecie uprawiana jest polityka komunikacyjna, uwzględniająca potrzeby i wymagania istniejących wielkich ośrodków gospodarczych i faworyzująca rozwój nowopowstających. Jakież więc mogą być rozumne powody, które usprawiedliwiałyby u nas kierowanie się odmiennemi wskazaniami?

M. B.

Jak finansować ruch budowlany?

Na powyższy temat zamieścił prof. Krzyżanowski kilka interesujących uwag w krakowskim „Czasie".

W czerwcu b. r. Komisja Kontroli Długów upoważniła rząd do emisji premjowej pożyczki inwestycyjnej w kwocie nominalnej 50 miljonów złotych. Publiczność kupiła emitowane papiery, a rząd sumę w ten sposób uzyskaną złożył jako swój depozyt w Banku Gospodarstwa Krajowego pod warunkiem jej zużycia na udzielanie pożyczek budowlanych. Bank Gospodarstwa Krajowego wypłacił z niej promesy już poprzednio udzielone, dzięki czemu szereg budynków miejskich zostanie wzniesionych w tegorocznym sezonie budowlanym. Trzeba się liczyć z tem, że miejskie budownictwo prywatne także w latach następnych nie będzie rozporządzało znaczniejszemi środkami, że byłoby pożądanem, ażeby państwo także i nadal udzielało pomocy kredytowej na cele budowlane w rozsądnych granicach. Zachodzi pytanie skąd państwo uzyska środki potrzebne na urzeczywistnienie tego celu?

Często jest mowa o nałożeniu podatku celowego gwoli rozwiązania tego zagadnienia. Jedni chcą obecne czynsze wynoszące w złocie 58% czynszów przedwojennych podwyższyć o 72% to znaczy do poziomu przedwojennego w myśli, ażeby lokatorzy tę olbrzymią zwyżkę 72% wpłacali do kas państwa, a państwo zużywało dochody z tego źródła pochodzące wyłącznie na udzielanie pożyczek budowlanych. Drudzy radziby podwyższyć podatek od nieruchomości, opłacany przez właścicieli domów. Wobec nadmiernie wysokiej stopy procentowej w Polsce, uważam dalsze śrubowanie podatków za dopuszczalne tylko w ostateczności. Wydaje mi się, że państwo rozporządza środkami finansowania ruchu budowlanego bardziej zalecenia godnemi, niż podwyższanie podatków. Powodzenie premjowej pożyczki inwestycyjnej powinno stać się wskazówką na przyszłość.

Na dzień 1 lutego 1930 r. przypada termin zwrotu w całości t. zw. dolarówek. Państwo będzie musiało posiadaczom dolarówek wypłacić około 50 miljonów złotych. Sądzę, że najlepiej byłoby, gdyby rząd z końcem roku następnego emitował sto miljonów nowej premjowej pożyczki inwestycyjnej, przeznaczając połowę na wykup dolarówek, a drugą połowę na udzielanie pożyczek budowlanych. Gdyby rząd chciał pójść tą drogą, musiałby w r. 1929 wystąpić do Sejmu z projektem odpowiedniej ustawy. Tym sposobem rząd zyskałby środki potrzebne na r. 1930. A cóż będzie w roku najbliższym?

Rząd posiada akcje Banku Polskiego, które wedle postanowień planu stabilizacyjnego nie dają mu prawa głosowania na walnych zgromadzeniach, a które mają być sprzedane na cele inwestycyjne. Z tego źródła rząd może uzyskać 75 miljonów złotych przed roz poczęciem przyszłorocznej kampanji budowlanej. Akcje Banku Polskiego i obligacje premjowej pożyczki inwestycyjnej mają to wspólnego, że są wybitnie pokupne. Kurs ich jest stosunkowo wysoki, a zatem emisja akcji Banku Polskiego, zwłaszcza w przeddzień wypłaty dywidendy miałaby z pewnością znaczne powodzenie.

Czy projekt, o którym mowa, nie stawia do rozporządzenia państwa na cele pożyczek budowlanych środków zbyt szczupłych? Zarzutu tego nie podzielam. Byłoby oczywiście pożądanem budować jaknajwięcej, atoli tylko w granicach wykonalności bez szkody. Cały nasz aparat techniczno-gospodarczy jeszcze nie jest nastawiony na zbytnie forsowanie ruchu budowlanego ze środków publicznych. Należy liczyć się z niebezpieczeństwem drożenia kosztów budowy, a zwłaszcza materjałów budowlanych w razie sztucznego wywoływania nadmiernego popytu. Kredyt budowlany jest długoterminowy, wywiera wpływ bardziej zwyżkowy na ceny, niż krótkoterminowy. Nadmierne udzielanie kredytu długoterminowego podraża krótkoterminowy kredyt obrotowy. Kierowanie kapitału w jedno koryto może wywołać dotkliwy brak kapitału w innych działach życia gospodarczego.

Zresztą przeznaczenie na cele budowlane większych środków natrafia na trudności bo ich uzyskanie nie wydaje mi się możliwem bez narażenia gospodarstwa społecznego na nieproporcjonalne straty. Sądzę, że z targu wewnętrznego można wydobyć w sposób poprzednio określony 125 miljonów złotych, ale wyższe obciążenie naszego szczupłego targu pieniężnego, łacno skończyćby się mogło niepowodzeniem. Nie jest wskazanem ubieganie się o pożyczkę zagraniczną póki kurs naszej pożyczki stabilizacyjnej z roku zeszłego nie pójdzie w górę. Śrubowanie podatków jest również mało zalecenia godne. W tym stanie rzeczy sądzę, że należy zadowolnić się poparciem ruchu budowlanego w granicach i sposobami, o których była mowa. Jest rzeczą pocieszającą, że rząd nasz może wydatnie, jak na nasze stosunki, poprzeć ruch budowlany w latach najbliższych bez nakładania nowych podatków i bez sięgania do kredytu zagranicznego.

Adam Krzyżanowski.

OCHRONA PRZECIW ZAGRANICZNYM AKCJONARJUSZOM.

Już od dłuższego czasu stała się dla angielskich sfer gospodarczych aktualną kwestja, w jaki sposób mogą się poważne brytyjskie przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe ochronić przed wzrastającą kontrolą przedsiębiorstw przez obcokrajowców. — W tym związku jest interesująca uchwała angielskiego towarzystwa elektrycznego, General Electric Company Ltd. Już na Ogólnem Zebraniu Towarzystwa, które odbyło się w dniu 3 lipca, wskazał przewodniczący Rady Nadzorczej, sir Hugo Hirst na to, że akcje towarzystwa są w sposób niepokojący zakupywane przez zagranicę i że przedewszystkiem amerykańscy interesanci wskutek prawa głosowania, połączonego z posiadaniem akcyj, zyskują wzrastający wpływ na losy przedsiębiorstwa. Przemysł elektryczny Anglji — powiada Hirst — zajmuje nadzwyczaj ważne miejsce w angielskiem gospodarstwie i w rozwoju brytyjskiego imperjum i ma dlatego do spełnienia wielkie narodowe zadanie. Obecnie Rada Zawiadowcza tego Towarzystwa, uznając stanowisko to za słuszne, podjęła kroki, ograniczające prawo głosowania do angielskich akcjonarjuszy. Na nadzwyczajnem ogólnem zebraniu, mającem odbyć się w dniu 7 września, będą przedłożone odpowiednie propozycje dla zmiany statutu towarzystwa. Przedewszystkiem w statucie ma być ustalone pojęcie „obcokrajowiec" i „zagraniczna korporacja" w tym kierunku, że jako obcokrajowiec ma być rozumiany niebrytyjski obywatel, a jako „zagraniczna korporacja" każde przedsiębiorstwo, nie założone pod działaniem ustaw angielskich lub brytyjskich dominjów. Ci obcokrajowcy wzgl. zagraniczne korporacje zostaną, mimo posiadania akcyj towarzystwa, wykluczeni od prawa głosu na ogólnych zebraniach. Dyrektorowie towarzystwa będą również uprawnieni do badania, czy akcje trzymane są przez Anglików lub angielskie korporacje z polecenia obcokrajowców. Również i w tym wypadku możliwem jest wykluczeni od praw głosu na ogólnych zebraniach. Dyrektorowie towarzystwa będą również uprawnieni do badania, czy akcje trzymane są przez Anglików lub angielskie korporacje z polecenia obcokrajowców. Również i w tym wypadku możliwem jest wykluczenie od prawa głosowania.

Imperial Airways Ltd. (towarzystwo lotnicze), które opublikowało właśnie swoje sprawozdanie roczne, przewiduje podobne środki. Przedsiębiorstwo to chce nawet postąpić jeszcze ostrzej i ustali, że tylko brytyjscy obywatele lub brytyjskie korporacje mogą być akcjonarjuszami.

Ciekawem jest, jakie stanowisko zajmie w tej sprawie rząd angiegski ze względu na możliwość „retorsji" ze strony państw, w których kapitał angielski jest zaangażowany.

M. S.

KOBIETA W ŻYCIU GOSPODARCZEM.

Według niemieckiej statystyki urzędowej pracuje w przemyśle i rzemiośle 41.4% ogółu ludności Rzeszy niemieckiej, w handlu i komunikacji 16.5%, w administracji, wojsku, w wolnych zawodach 4.7%, w rolnictwie 30.5%, w instytucjach dobroczynnych i zdrowotnych, w szpitalnictwie itp. 1.8%, a służba domowa stanowi 5.1% ogółu ludności.

Udział kobiet w tych zawodach jest następujący: W przemyśle i rzemiośle w wykazanych 41.4 proc. ludności jest kobiet 9.1%, czyli jedna kobieta na 3.6 mężczyzn, w handlu i komunikacji na 16.5% ludności, kobiet jest 4.5% czyli jedna kobieta na 2.3 mężczyzn w wolnych zawodach, administracji etc. jedna kobieta na 4.2 mężczyzn, w rolnictwie stosunek jest prawie równy gdyż na jednego mężczyznę przypada 1.03 kobiet w szpitalnictwie i dobroczynności stosunek jest zupełnie równy i na jeduego mężczyznę przypada jedna kobieta, a w służbie domowej na jednego mężczyznę wypada siedem kobiet.

W sprawie przerzucalności podatku obrotowego

Od jednego z zagranicznych prenumeratorów „Prawdy“ otrzymujemy z Hamburga list następującej treści:

Z powodu brutalnej napaści „Epoki“ warszawskiej na autora artykułu w „Prawdzie“ p. t. „Ministerstwo Skarbu“, nie mogę oprzeć się potrzebie zabrania głosu, ponieważ nader trudny i zawiły problem przerzucalności podatku obrotowego stanowił specjalny przedmiot moich studjów. Autor napaści czyni z tego zagadnienia główną podstawę swych zarzutów, popisując się swą rzekomą wiedzą, faktycznie zaś właśnie tym argumentem wykazuje całkowity swój analfabetyzm, przynajmniej w dziedzinie nierozstrzygniętego jeszcze przez naukę problemu.

Problem przerzucalności podatków wogóle należy do najtrudniejszych i dotąd niewyjaśnionych zagadnień skarbowo-ekonomicznych. Bezceremonjalność i arbitralność, z jaką autor napaści porusza to zagadnienie, zgóry nasuwa przypuszczenie, że wyraz „przerzucalność podatków“ zna „ze słyszenia“, problemu zaś ani nie studjował, ani nawet nie przemyślał. (Jest to objaw owego specyficznie polskiego dyletantyzmu, chętnie wojującego mądremi wyrażeniami, które się przypadkowo zasłyszało, ale istotnego sensu których się nie zna. Boy nazwał to niegdyś „wiatrologją“).

Problem przerzucalności podatku obrotowego nauka skarbowości wręcz uznaje w całości za nierozstrzygnięty; nauce tej znane są jednak wypadki, kiedy podatek obrotowy jest stanowczo nieprzerzucalny.

Do tych wypadków częściowej nieprzerzucalności należy w pierwszym rzędzie podatek obrotowy kilkufazowy, o ile liczba tych faz, jak właśnie we włókiennictwie polskiem, może w poszczególnych wypadkach być nierówna (boć cena kształtuje się niezależnie od ilości przebytych faz i wielokrotności opodatkowania: metr jakiejś tkaniny dwukrotnie opodatkowanej kosztuje tyle, co metr tejże tkaniny pięciokrotnie opodatkowanej).

Nieprzerzucalność podatku obrotowego nauka skarbowości uważa za szczególnie prawdopodobną, o ile pokaźna część płatników może się uchylić od uiszczania pełnej stawki, co znowu odpowiada stanowi rzeczy we włókiennictwie polskiem (drobni producenci, częściowo handel, fabryki bez własnych maszyn).

Wreszcie w naukowej dyskusji nad omawianym problemem (a prowadzili ją ludzie o większych wiadomościach skarbowych aniżeli autor napaści) w Niemczech i Czechosłowacji przeprowadzono matematycznie dowód częściowej nieprzerzucalności podatku obrotowego przy pewnych wypadkach silniejszych wahań cen, które przecież też nie są zjawiskiem obcem włókiennictwu polskiemu.

Reasumując, stwierdzić można, że podatek obrotowy od wyrobów włókienniczych w Polsce jest częściowo nieprzerzucalny, a częściowo przerzucalny; ale w tym ostatnim wypadku podnosi ceny, kurczy konsumcję, hamuje rozwój przemysłu, o czem autor wogóle zdaje się nie pamiętać.

A premjowanie importu? A hamowanie eksportu? Dyletantyzm autora zawoła z triumfem, że eksport podatku obrotowego nie opłaca. Ale dyletantyzm autora z pewnością nie słyszał o „obciążeniu poprzedniem“ (Vorbelastung), t. zn. o opodatkowaniu poprzednich faz, dającym się we znaki na rynku międzynarodowym, a tembardziej o „opodatkowaniu niewidocznem“, t. j. ogólnem, nieuchwytnem obciążeniu produkcji krajów znających podatek obrotowy w porównaniu z krajami, nie znającemi tego podatku lub przynajmniej nie znającemi go w tak wysokich rozmiarach.

Hamburg, dnia 3 września 1928 r.

Dr. H. Be—wicz.

Zmiany w ustawodawstwie społecznem Stanów Zjednoczonych

W Biuletynie Urzędu Imigracyjnego czytamy:

Do najważniejszych zmian w ustawodawstwie społecznem za rok 1927 należy nowe prawo w stanie New York, przewidujące 8-godzinny dzień pracy dla kobiet. Według tego prawa dziewczęta powyżej 16 roku życia i starsze kobiety nie mogą być zatrudniane dłużej, niż 48 godzin tygodniowo. Ustawa zastrzega dwa wyjątki: w celu skrócenia jednego dnia roboczego w tygodniu lub też wyznaczenia go jako święta, kobieta może pracować po 9 godzin dziennie, ale nie dłużej, niż przez 5 dni w tygodniu; następnie w ciągu całego roku może pracować dodatkowo 78 godzin, ale w żadnym wypadku nie dłużej niż 10 godzin dziennie, nie więcej, niż 6 dni w tygodniu, przyczem tydzień roboczy nie może wynosić więcej, niż 54 godziny pracy.

Prawo 8-godzinnego dnia pracy dla dzieci zostało wprowadzone w stanie North Carolina. W stanach Arizona, Michigan i Minnesota zmieniono nieco ustawę o 8-godzinnym dniu pracy. W stanach Pennsylvania i Washington zniesiono kilka starych praw, dotyczących najmowania dzieci do pracy na podstawie kontraktu. Pozwolenie ojca, matki lub opiekuna dziecka w wieku od 14 do 16 lat jest obecnie konieczne w West Virginji dla otrzymania poświadczenia, zezwalającego na zatrudnienie go przy pracy zarobkowej. Stan Connecticut udziela obecnie certyfikatów pracy dzieciom w tym wieku w celu możności zatrudnienia ich w soboty i w godzinach pozaszkolnych. W tymże stanie wprowadzono przepisy, na mocy których została zabroniona praca nocna kobiet i dzieci od godz. 10 wieczór do 6 rano.

Stany Maryland i Colorado wprowadziły ustawy ogólne, przewidujące ubezpieczenie społeczne na starość i upoważniające powiaty i pewne miasta do opracowania i zaprowadzenia odpowiedniego w tym celu systemu. Pomoc władz stanowych dla wdów i sierot uległa dalszym ulepszeniom ustawodawczym w stanach Illinois, Minnesota, Missouri, Montana, Nebraska, New Hampshire, North Dakota, Oregon, Washington i Wisconsin.

Prawa, zmierzające do ulepszenia warunków bezpieczeństwa pracy i warunków zdrowotnych dla górników zostały przeprowadzone w kilku stanach. W stanie Arkansas obostrzono wymagania, tyczące się posiadania map kopalnianych. Prawo w stanie Illinois domaga się utworzenia dwuch nowych stacyj ratunkowych; uzupełniono również ustawę, dotyczącą używania w kopalniach prochu strzelnego i liczby osób, które mogą być obecne w szybie przy rozbijaniu węgla. W stanie Iowa, według nowego prawa górnicy, rozbijający węgiel, winni być zaopatrzeni w maski przeciwgazowe. W stanie Montana wymagana jest obecnie wentylacja kopalń.

Zatrudnienie osób cierpiących na pewne zaraźliwe choroby, zabronione jest obecnie w Pennsylvanji, gdzie osoby te nie mogą pracować w restauracjach; w stanie Maryland praca tych osób nie jest dozwolona w pralniach.

Krótkie wiadomości gospodarcze

Z Madrytu donoszą, że od dnia 10 września r. b. 25 proc. należytości celnych pobieranych będzie w złocie lub w czeku na złoto, a pozostałe 75 proc. w kursującej monecie z odpowiednim dodatkiem, który każdego miesiąca ma być kalkulowany według urzędowego kursu.

* * *

Po katastrofie kolejowej pod Le Mans, w czasie której metalowe wagony pocztowe oparły się wstrząśnieniu, francuski minister poczt komunikuje, że przewiduje na r. 1929 budowę 200 metalowych wagonów pocztowych. 100 wagonów będzie wykonanych przez francuskie fabryki, a reszta dostarczona będzie przez Niemcy na rzeczowe koszty reparacyjne. Pierwotnie ministerstwo poczt przewidywało na rok 1929 budowę tylko 20 metalowych wagonów pocztowych.

* * *

O znaczeniu omnibusów samochodowych dla publicznego ruchu dalekobieżnego w Niemczech, dowodzi sprawozdanie spółki „Ruch samochodowy w Niemczech“ za pierwsze półrocze 1928 r. Na podstawie tego sprawozdania spółki samochodowe przebyły w czasie od 1 stycznia do 30 czerwca 1928 r. ogółem 15,37 miljonów kilometrów (32 proc. więcej wobec tego samego okresu w r. 1927) i przetransportowały przytem 31,67 miljonów osób (49 proc. więcej, niż w tym samym okresie r. 1927). 30 czerwca b. r. towarzystwa dla ruchu samochodowego eksploatowały 451 linij o 7,763 kilometrach długości i dysponowały 1,075 omnibusami samochodowemi (o 35 proc. więcej). Te same przedsiębiorstwa transportowały w roku zeszłym ogółem 49,28 miljonóy osób, z czego wynika, że ruch w pierwszej połowie roku 1928 wynosi 64,5 proc. ruchu całego roku 1927. Ponieważ główny czas podróży przypada na drugą połowę roku, przeto można przyjąć, że towarzystwa dla ruchu samochodowego przetransportują w ciągu całego roku 1928 około 80 miljonów osób.

* * *

Popyt na pojazdy motorowe w Szwajcarji stale wzrasta, jak wykazują cyfry opublikowane przez Szwajcarski departament ceł. Szwajcarski import tych pojazdów w ciągu drugiego kwartału roku bież. wykazuje znaczny wzrost w porównaniu z kwartałem poprzednim, gdyż wartość jego wynosi przeszło 26 miljonów franków, t. j. około 10 miljonów więcej, niż w pierwszym kwartale roku bież. i o 2 miljony franków więcej, niż w odpowiednim okresie roku 1927-go.

* * *

W drugim kwartale roku bież. handel eksportowy Stanów Zjednoczonych osiągnął co do wartości poziom wyższy, niż w odpowiednim kwartale wszystkich lat od 1920 r. Według wykazu departamentu dla handlu wartość ta była o 100 proc. wyższa, niż w drugim kwartale 1913 roku. Departament stwierdza, że w porównaniu z ostatniemi latami Stany Zjednoczone zawdzięczają swą ekspansję w pierwszym rzędzie szybkiemu wzrostowi handlu gotowemi towarami, a zwłaszcza samochodami, i eksportowi amerykańskiej bawełny. W pierwszych 6 miesiącach 1928 r. 22 z 30 grup towarów gotowych wykazywały wzrost eksportu w porównaniu z 1927 rokiem. Z drugiej strony import gotowych towarów pozostawał na tym samym poziomie, co w roku 1927.

* * *

W październiku r. bież. ma się odbyć w Paryżu zebranie przedstawicieli przemysłu cukrowniczego Kuby, Czechosłowacji i Polski. Zamiast uchwał, powziętych na poprzednich konferencjach, mających na celu doprowadzenie do pewnej równowagi produkcji z konsumcją, będzie zadaniem tej konferencji ustalenie wytycznych, celem ogólnego podniesienia konsumcji cukru w Europie, zwłaszcza we Włoszech. Przyczyną tego jest okoliczność, że producenci cukru na Kubie nie chcą zastosować się do ograniczenia obszaru uprawy trzciny cukrowej. Skutkiem tego, a zwłaszcza wskutek wzmożonego wywozu z Jawy, konkurencja w Europie staje się coraz ostrzejszą. Ponieważ konsumcja cukru bezwątpienia może być podniesiona, zwłaszcza, że chodzi o wysokowartościowy środek odżywiania, postanowienie takie leży w interesie rodzimego przemysłu cukrowniczego.

* * *

Pod firmą „Société Financière pour Travaux Publics et Entreprises“ założono w Paryżu towarzystwo, mające na celu udoskonalenie francuskich środków produkcyjnych, zwłaszcza drogą wykorzystania świadczeń rzeczowych na konto reparacyjne. Kapitał ustalony został na 5 miljonów franków. Większa ilość dotychczas istniejących towarzystw, które również sprowadzały materjały na konto świadczeń rzeczowych, bierze udział w nowem towarzystwie centralnem. Między założycielami znajduje się również kilka instytucyj finansowych.

* * *

Związek północno-amerykańskich producentów surowej wełny zamierza utworzyć syndykat sprzedaży. Celem syndykatu jest uniezależnienie sprzedawców i przetwórców od handlu pośredniczącego. Zamierzonem jest przez lepsze sortowanie i klasyfikację ześrodkować w rękach amerykańskich funkcje, które dotychczas przeprowadzał handel londyński. W przygotowaniach bierze udział pewna ilość amerykańskich przetwórców.

* * *

Cztery wielkie kopalnie, położone w Durham, Yorkshire, Derbyshire i Leicestershire, ogłosiły, że unieruchomią swoje zakłady. Tem samem zostanie przeszło 5,000 górników bez pracy. Największą z tych kopalni jest Seaham Collieny lorda Londonoerry w Durham, w której wypowiedziano pracę 2,700 górnikom.

SZTUCZNY KAUCZUK.

Oddawna już czynione są próby zastąpienia kauczuku naturalnego produktem syntetycznym. Jak wiadomo, już podczas wojny Niemcy otrzymali materjały wyjściowe, potrzebne do fabrykacji kauczuku sztucznego, mianowicie: isopren idimetylobutadien, które podczas wojny wyrabiano w Leverkusen, w fabryce Fr. Bayer et Co. Dotychczas Niemcy nie wytwarzają jeszcze kauczuku na rynek, lecz doświadczenia, zwłaszcza w roku 1927, dały rezultaty tak znakomite, że I. G. (I. G. Farben-Industrie) zdecydowała się na podjęcie poważnych prób, zmierzających do otrzymywania w dużych ilościach i w tani sposób wymienionych produktów wyjściowych. Prof. Bosch określił wynalazek syntetycznego kauczuku jako jeszcze większą zdobycz na polu chemji przemysłowej, niż wynalazek otrzymywania benzyny z węgla brunatnego. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że przywóz kauczuku naturalnego i wyrobów do Niemiec w roku 1927 wyniósł 172 miljony mk., to widzimy, iż zagadnienie otrzymywania kauczuku syntetycznego jest nietylko aktualnem zagadnieniem chemicznem, lecz również ważkiem zagadnieniem gospodarczem. Należy nadmienić, iż I. G. udało się w roku 1927 uprościć znacznie otrzymywanie materjałów wyjściowych i osiągnąć duże postępy w dziedzinie wytwórczości kauczuku sztucznego. Sądząc według opinji prasy fachowej, należy mniemać, iż w niedalekim już czasie monopolistyczne stanowisko kauczuku na rynku międzynarodowym zostanie zagrożone przez kauczuk, otrzymywany znacznie taniej drogą syntetyczną.

NOWE LINJE ŻEGLUGI W GDYNI.

„Hansa“, główny organ żeglugi niemieckiej, który z wielką uwagę śledzi rozwój naszych interesów morskich i zajmuje się niemi w każdym numerze, przypisuje odwiedzinom dostojników Rzplitej w Gdyni „nowe energiczne zarządzenia ku przyśpieszeniu rozwoju nowego portu“, poczem jeszcze raz wraca do tej sprawy w zeszycie z dnia 18 sierpnia, notując powstanie nowych linij żeglugi i nowych urządzeń portowych.

„Hansa“ ma zwyczaj pisać o naszych sprawach w sposób alarmujący, jednak zrozumiałe jest, że pismo hamburskie zaniepokoiło się takiem zdarzeniem, jak otwarcie przez „Chargeurs Réunis“ regularnej i bezpośredniej komunikacji między Gdynią a portami południowo-amerykańskiemi, oraz dalszym faktem, że ten przykład pobudza do naśladownictwa inne przedsiębiorstwa. „Johnson-Line“ ma urządzać co miesiąc podróże między Gdynią a Ameryką Południową; obok tej linji towarowej powstaje jeszcze jedna linja pasażerska dzięki „Lloydowi Holenderskiemu“, którego okręt zabrał podróżnych w dniu 10 sierpnia z Gdyni i udał się wprost do Rio de Janeiro, zatrzymując się tylko w Rotterdamie. Tak przełamany jest opór przedsiębiorstw żeglugi, które dotąd omijały wybrzeże polskie w swoich podróżach oceanicznych; kończy się również najwyraźniej monopol hamburski w dostarczaniu nam wszelkich artykułów kolonjalnych. Odtąd nasze zakupy zaczną odbywać się u źródła, eksport zaś w tamtą stronę już wszedł na właściwą drogę, bo „Krakus“, odjeżdżając z Gdyni dnia 9 września, zabierze do Brazylji i Argentyny nietylko podróżnych, ale i towary. Poza tem „Hansa“ dowiaduje się o powstaniu jeszcze innych linij żeglugi, które wszystkie razem uczyniłyby port gdyński prawdziwym węzłem wielkich dróg morskich.

NOWE WYDAWNICTWA MIĘDZYNARODOWEGO BIURA PRACY.

W ostatnich dniach ukazał się nowy tom studjum poświęconego przez Międzynarodowe Biuro Pracy zagadnieniu wolności koalicyjnej. Pierwszy tom, który ukazał się w grudniu zeszłego roku zawierał analizę porównawczą przepisów ustawodawczych, obowiązujących w tym względzie w poszczególnych państwach. Drugi tom wydany w marcu zawierał monograficzny opis stanu rzeczy istniejącego w zakresie wolności koalicyjnej w Anglji, w Irlandji, we Francji, w Belgji, w Holandji, w Szwajcarji i w Luksemburgu.

Świeżo ogłoszony tom zawiera dalsze monografje poświęcone Niemcom, Austrji, Węgrom, Czechosłowacji, Polsce oraz państwom Bałtyckim i Skandynawskim. Dwa dalsze tomy, które ukażą się jeszcze zawierać będą monografje pozostałych państw.

W każdej monografji omawia Międzynarodowe Biuro Pracy nie tylko istniejący stan prawny i orzecznictwo sądów i władz administracyjnych, lecz również faktyczne położenie związków zawodowych w poszczególnych państwach.

Międzynarodowa Konferencja Pracy postanowiła w roku 1927, że sprawa wolności koalicyjnej nie może stanowić przedmiotu obrad Konferencji tegorocznej, skutkiem czego sprawa ta nie mogła stanowić przedmiotu międzynarodowej konwencji pracy. Naukowe zbadanie tego problematu posiada niemniej z punktu widzenia społecznego olbrzymią doniosłość, której dała wyraz ostatnia Konferencja Pracy, uchwalając rezolucję, wzywającą Międzynarodowe Biuro Pracy do doprowadzenia do końca studjum, o którem wyżej jest mowa.

UWAGI

Dlaczego się boimy?

Znany nowojorski psycholog Dr. Dawid Mitchell, kierownik wydziału klinicznego amerykańskiego towarzystwa psychologicznego, docent psychologji na uniwersytecie nowojorskim w rozmowie z dziennikarzem amerykańskim E. Wiggamem rzucił kilka niezmiernie interesujących uwag o przyczynach ludzkiej bojaźni i strachu.

Istnieją tylko dwa objawy bojaźni, które są wrodzone, a przeto naturalne — wszystkie inne są nabyte — „nauczone“ — i jako takie mogą być zwalczone. Albowiem wszystkiego, czego człowiek się nauczył, może się także oduczyć. Nie trzeba na to ani żadnej specjalnej siły woli, ani żadnego kontaktu z jakiemiś siłami kosmicznemi, ani też wprowadzania człowieka w stan somnambulizmu, lecz jedynie dwóch bardzo zwyczajnych rzeczy:

Po pierwsze musi być odkryta przyczyna bojaźni, strachu i braku zaufania w siebie samego. Przyczyna ta tkwi bardzo często w jakimś drobnym, zapomnianym epizodzie z dzieciństwa. W wielu wypadkach już samo odkrycie przyczyny przynosi uleczenie.

Po drugie, trzeba nauczyć się inaczej myśleć. Spostrzeżenia, czynione na dzieciach w wieku od jednego dnia do kilku miesięcy, dowiodły, że tylko hałas lub obawa przed upadkiem napawają je strachem. Wolno tedy przypuszczać, że wszystkie inne uczucia bojaźni człowiek nabywa dopiero później. Mam dwoje chrześniaków w wieku 14 i 16 lat. Na zasadzie dziesięcioletniej obserwacji mogę stwierdzić, że dzieci te nie znają uczucia bojaźni ani strachu. Ale bo też nigdy nie straszone je biciem, ciemnicą, djabłem i t. p. Gdy należało je karać, czyniono to w ten sposób, że odmawiano im jakiejś rozrywki lub jakiegoś przysmaku. Pewien policjant opowiadał mi, że matki tak długo straszą swoje dzieci policjantem, który rzekomo ma je zabrać, aż osiągają to, że w chwili niebezpieczeństwa, gdy policjant śpieszy dziecku z pomocą, ono ucieka, jak oparzone.

Nieraz wprost histeryczny strach przed włamywaczami udało mi się pewnego razu wyleczyć w sposób następujący: Każda obawa musi mieć swoją szczególną przyczynę. Zacząłem przeto systematycznie wstecz badać historję pacjentki. Szukałem długo, nie znajdując nic. Nigdy nie przestraszyli jej włamywacze i wogóle nigdy włamywacza na oczy nie widziała. Wreszcie odkryłem, że matka jej — gdy pacjentka moja była jeszcze dzieckiem — zwykła była przed spaniem starannie zamykać drzwi wejściowe i latarką świeciła pod łóżka i szafy, jakby obawiała się, że tam może ukrywać się zbrodniarz. Na ostatku zajrzała także i pod łóżeczko córeczki, poczem zamykała drzwi dziecinnego pokoju. W tych warunkach dziecko rosło z tą myślą, że włamywacze są tak pospolitym gatunkiem śród ludzi jak n. p. muchy śród owadów. Mając 22 lat, tak panicznie bała się włamania, że nie potrafiłaby sama spać w pokoju i poprostu nie była zdolna do normalnego życia. A wszystko to miała do zawdzięczenia głupocie matczynej. Od dłuższego czasu panuje już nad sobą i nad swoim strachem i może już spać w zwykłych warunkach.

Najgorszą i najpospolitszą formą bojaźni, a zarazem prawdziwem przekleństwem ludzkości jest uczucie: nie mogę. Wprawdzie zdarza się nam wszystkim, że miewamy chwile uzasadnionej i dobroczynnej obawy i powątpiewania, że może nie doroślismy do jakiegoś zadania, jednak u wielu ludzi stan ten jest chroniczny i dzięki temu skazani są oni na całkowitą niezdolność życiową. Uczucie to powstało stąd, że od ludzi tych żądano kiedyś o wiele więcej, niż mogli dać według swoich zdolności fizycznych i duchowych. Zaczęło się to zwykle w szkole. Badania staranne wykazały, że szkoła stawia połowie dzieci wymagania, które przerastają ich zdolności i których wykonać nie mogą. Skutkiem tego później w życiu nie są w stanie sprostać rzeczom o wiele ważniejszym dla swej przyszłości. I to jest przyczyną uczucia niezdolności i upośledzenia, jakie później dorosłych ludzi opanowuje.

Przypominam sobie pewnego młodzieńca, który liczył około 19 lat, gdy do mnie przyszedł. Od pewnego czasu był bez posady, a od wyjścia ze szkoły już kilka razy zmieniał posady. Przytoczył mi zresztą zupełnie przekonywujące powody tych zmian, jednak nie przekonał mnie. I okazało się, że i u niego zbyt wygórowane wymagania w szkole rozbudziły uczucie niezdolności. Nie zdając sobie z tego sprawy opuszczał posady, bojąc się, że nie sprosta żądaniom swoich przełożonych, chociaż miał wszelkie dane po temu, by zadowolnić wszelkie wymagania.

W innym znowu wypadku człowiek, którego dochody wyrażały się w miljonach czuł niewytłumaczony przestrach przed swemi kolegami i podwładnymi. Przed każdą konferencją dostawał ataku palpitacji. Podłożem tego strachu była nieopuszczająca go nigdy myśl: co oni o mnie myślą, jakie wrażenie wywieram?

I tutaj przyczyną tej przykrej wady były błędy w początkowem wychowaniu: chłopiec wychowywał się w domu despotycznego ojca — nie wolno mu było mieć własnej woli, nie wiedział co to poczucie odpowiedzialności. Ponieważ pewnego razu lekko się skaleczył przy grze w piłkę nożną, ojciec zabronił mu tej zabawy. Chłopak wstydził się przed kolegami i ciągle szukał wymówek, aby usprawiedliwić uchylanie się od gry. Nie zdając sobie z tego sprawy, nauczył się uchylać także i od wielu innych obowiązków. Pojęcia nie miał o tem wszystkiem. Gdy jednak najdokładniej opisałem mu jego wrażenia w chwili, gdy musi się udawać na jakąś konferencję, przyznał, że za każdym razem przeżywa to samo, co przeżywał wówczas, gdy zjawiał się przed kolegami, aby usprawiedliwić się, że w grze nie może brać udziału. Było to jakby objawieniem dla niego...

Kongres Eunuchów

W końcu czerwca b. r. odbył się w Konstantynopolu pierwszy kongres związku zawodowego byłych eunuchów haremów i pałaców sułtana. Sprawozdawca londyńskiego „Daily Mail“ zapewnia, że na kongresie stało się widocznem, iż większość eunuchów ciąży ku komunizmowi, pomimo iż mimo rewolucji i zamknięcia haremów eunuchowie pozostali najbogatszą grupą społeczną. Eunuchowie pobierali bardzo wysokie wynagrodzenie i mieli ogromne możliwości zbogacenia się, z których też wydatnie korzystali. Materjalnie stanowisko szefa eunuchów cesarskich było bezporównania korzystniejsze niż stanowisko prezesa rady ministrów. Cały swój dorobek eunuchowie uratowali, gdyż nikt im go nie konfiskował, ponieważ nie traktowano ich jako dygnitarzy politycznych, lecz jako służbę.

Eunuchowie nie są jednak zadowoleni ze swego obecnego losu i stąd może pochodzi wrażenie angielskiego dziennikarza. Inaczej zupełnie twierdzi prezes związku, główny eunuch byłego cesarskiego haremu. Oświadczył on mianowicie wobec przedstawicieli prasy: „Wielu ludzi sądzi, że eunuch może być tylko monarchistą, zdrajcą albo złoczyńcą — a my tymczasem chcemy być uczciwymi obywatelami republiki“.

A w rezolucjach, które kongres uchwalił powiedziano między innymi:

„Zadania eunuchów nie powinny być zapoznawane nawet i w dzisiejszych, zmienionych warunkach. Nasze wiadomości i nasze doświadczenia w wielu dziedzinach, nasze szczere republikańskie przekonania i nasza uczciwość, wobec której nawet najpiękniejsze oczy kobiece nic nie są w stanie wskórać, kwalifikują nas na najidealniejszych doradców każdego rządu, który pragnie zająć się najbardziej skomplikowanemi problemami kobiecemi“.

Związek zawodowy eunuchów wyraża nadzieję, że rządy państw wschodnich za jego pośrednictwem powołają na stanowiska doradców w sprawach kobiecych zdolnych i mniej zamożnych jego członków. Związek eunuchów może nawet poszczycić się już jednym sukcesem w dziedzinie porządkowania przez swoich doradców zagadnień kobiecych. Mianowicie w republice Dagestanu panuje dotychczas prawo, według którego nie narzeczony otrzymuje od rodziców narzeczonej posag, lecz przeciwnie, płaci rodzicom narzeczonej pewną sumę za wydanie mu córki. Dotychczas nie było żadnych przepisów, ustalających wysokość tej sumy. Ostatnio jednak w Dagestanie został ministrem człowiek, który jako młodzieniec studjował na jednym z uniwersytetów niemieckich i on to doszedł do wniosku, że stan taki nie może być dłużej utrzymywany i że całą tę sprawę trzeba ująć w pewne stałe normy, że jednem słowem musi być w postaci ustawy wydany cennik na żony, dla wszystkich jednakowy. „To, co się obecnie dzieje, jest dziką, barbarzyńską gospodarką!“ — powiedział pan minister w swem przemówieniu na sowiecie w Derbend. Po tej mowie postępowy sowiet postanowił zwrócić się do najwybitniejszych z pośród bezrobotnych eunuchów, aby zagadnienie to fachowo zbadali i przedstawili swoje wnioski.

Opinja eunuchów rzeczoznawców, według gazety aserbejdżańskiej „Joldasz“ brzmi jak następuje:

„Bardzo ładna dziewczyna, pozwalająca spodziewać się licznego potomstwa (duże czarne oczy, długie włosy, biała cera, wysmukła w pasie, szeroka w biodrach itd.) powinna kosztować 250 rubli. W pewnych warunkach cena ta może być wyższa, jednak nie powinna nigdy przekraczać 400 rubli. Mniej ładna dziewczyna (cera ciemna, zły charakter itp.) kosztuje 125 do 175 rubli. Dziewczyna której piękność jest kwestją sporną, musi poddać się oględzinom komisji rzeczoznawców, złożonej z trzech patentowanych eunuchów. Za dziewczynę, która straciła swoją niewinność, nie wolno zasadniczo żądać żadnego wynagrodzenia. W pewnych wypadkach wartość jej równa się naogół jednej czwartej najniższej wartości kobiety.

Wartość kobiety (wdowy, rozwódki itp.) musi być każdorazowo określana przez komisję eunuchów“.

Wnioski tej komisji, spisane na 33 stronach pisma, zostały przez sowiet dagestański przyjęte olbrzymią większością.

Prócz tego także i w innych dziedzinach otwiera się pole działalności dla eunuchów, mianowicie powinni być powoływani jako doradcy dla adwokatów przy sprawach rozwodowych, jako rzeczoznawcy w sądach, jako funkcjonarjusze w związkach kobiecych i w partjach kobiecych, jako rzeczoznawcy dla oceny, czy kandydatka kobieta zdolna jest sprawować urząd, względnie stanowisko lub wykonywać pracę, o którą się ubiega i t. p.

Jak wynika z uchwał kongresu i przebiegu prowadzonej tam dyskusji, nawet w nowoczesnem państwie jest wiele miejsc, które z powodzeniem zająć może eunuch. Wogóle trzeba stwierdzić, że od eunucha do pożytecznego obywatela republiki droga jest niedaleka — mniej więcej tak samo daleka jak od pożytecznego obywatela republiki do eunucha...

E. P.

Jean Galmot

Twarz Don Kiszota, wydłużona jak łeb koński, ze zwisającym nosem, śmiejącemi się chytremi oczyma. Życie także jak Don Kiszota.

Jean Galmot — co za dziki djabeł! Jean Galmot—ex-deputowany, ex-skazaniec, ex-plantator, ex-dziennikarz, — podróżny, który zwiedził wszystkie części świata, kuty na cztery nogi wyjadacz, który z każdego pieca chleb jadł, szczwany wszystkimi psami. To nic dla Europy, nic dla dwudziestego stulecia — powinien był żyć w stuleciu wypraw krzyżowych i raubritterów.

Marny, mizerny zamach polityczny zniszczył to życie, które — wbrew i na przekór wszelkim trudnościom i przeszkodom — na nowo zaczęło się dźwigać. Jean Galmot już nie żyje. W Guyanie rewolta, powstanie, bunt, trupy. Lubiano tam tego awanturnika, który niezawsze kroczył prostą i legalną drogą. Ale i moralność ma swoją geografję i zmienia się zależnie od szerokości geograficznej. Śmierć jego rozpętała burzę — burzę i huragan z błyskawicami i piorunami.

* * *

Skąd się wziął ten ciemny, jak rtęć ruchliwy ekwilibrysta słowa — Bóg tylko wie. Znał wszystko, wiedział wszystko i wszystko widział. Godzinami potrafił opowiadać: wschodnie bajki z tysiąca i jednej nocy, bajki z tysiąca i jednej nocy europejskich stolic. Opowiadania te porywały wszystkich, nawet tych, którzy go nienawidzili, którzy nie ufali tej komedjanckiej twarzy. Pisał z taką samą łatwością jak opowiadał. Umiejętność pisania i żyłka awanturniczych przygód — cóż dziwnego że trafił do dziennikarstwa? Ta odskocznia nie wydawała mu się gorszą od innych. Pisał niesłychanie ryzykowne i niesamowicie zręczne rzeczy i został zauważony. Opisy z życia więźniów w Bagno były wówczas w modzie. Wysłano go więc do Guyany.

* * *

I pisał stamtąd swoje wrażenia. W wolnych chwilach poznawał kraj i ludzi także i z innej strony. Żyłka awanturnicza się odezwała. Ktoś wkręcił mu jakieś tereny w centralnej Afryce, na których rzekomo miało pojawić się złoto.

Zebrał kilku desperatów i wybrał się na poszukiwanie tego złota. Nie znalazł go jednak, ale spostrzegł, że w tym nowym, niedawno odkrytym kraju, łatwiej jest znaleźć bogactwa w lasach i plantacjach, niż w piasku rzecznym. Razem z wieloma, którzy przeczuli wcześnie wielki ruch bawełnianocukrowo-kauczukowy, zakupił za grosze olbrzymie tereny i zaczął karjerę plantatora kolonjalnego. Po kilku latach dziennikarz, który przyjechał do tego kraju z ołówkiem i notesem, aby pisać wrażenia i korespondencje, stał się wielokrotnym miljonerem. Miał swoje biura na Antyllach, na zachodniem wybrzeżu Afryki, w Indjach. Posiadał swoje filje we Francji, posiadał tuziny statków morskich. Jean Galmot stał się najpotężniejszym z pośród tych potentatów, którzy w dziewiczych lasach w ciągu dziesięciu lat zdobyli niezmierne bogactwa i potęgę.

* * *

Sposób, w jaki zgromadził swoje miljony, był przypuszczalnie ten sam, w jaki zdobyte zostały wszystkie inne fortuny kolonjalne: nieprawdopodobna energja, zdumiewająca intuicja, odwaga, surowość, brak skrupułów, To były zwykłe środki. Nimi posługiwał się Galmot tak samo jak i inni, jak jego wrogowie i konkurenci i ci, którzy mu pozazdrościli. Pot krajowców i krew krajowców jest na tych wszystkich, przez noc zgromadzonych, bogactwach z Saigon, Papua, Marakeesh.

W miarę jak powstawały konflikty handlowe, pojawiały się także i konflikty polityczne. Jeżeli polityka w Europie przynosi zwykle niepokój i niepewność, to w kolonjach grozi zawsze katastrofą. W roku 1919 Galmot zostaje deputowanym z Guyany. Bierze udział w rozbudowie linij powietrznych, buduje drogi i zakłada z własnych środków firmę wydawniczą dla młodych talentów. Wystawia własnym kosztem jakąś rewję. Jednem słowem wszędzie, na każdym kroku, Jean Galmot.

Zniżka cen rumu, ta katastrofalna bessa z roku 1921, która pochłonęła tyle majątków kolonjalnych, zachwiała także majątkiem Galmota. Zaczyna lawirować i usiłuje wszystkiemi siłami utrzymać się na powierzchni. Usiłowania te rozbijają się — do prokuratora wpływa kilka skarg — zaczyna się wściekła kampanja przeciw niemu. Oskarżają go o nieuczciwe manipulacje handlowe, traci mandat i dostaje dwa lata więzienia. Przeciwnicy polityczni trjumfują. Przyjaciele i niektórzy neutralni wołają, że dzieje się krzywda, że skazano niewinnego, że to polityczne manewry, polityczni nieprzyjaciele.

* * *

Jean Galmot nie zrezygnował. Natychmiast po wyjściu z więzienia rzuca się na nowo do interesów i do polityki. Myśli o swej rehabilitacji. Szczęście sprzyja mu w interesach, do których się bierze. Nabywa plantacje gumy i zaczyna na nowo dorabiać się wielkiej fortuny.

W czasie tegorocznych wiosennych wyborów w Guyanie bierze udział w walce zaciętej i bezlitosnej (Przypomnijmy sobie obrazki z gazet, przedstawiające lokale wyborcze, otoczone wojskiem i karabinami maszynowemi) Jean Galmot zawsze jest w pierwszych szeregach. Ma znowu grunt pod nogami, znowu stał się człowiekiem, z którym liczyć się trzeba i którego bać się trzeba.

* * *

Pierwsza depesza doniosła, że śmierć nastąpiła na skutek ataku sercowego. Potem przyszły wiadomości, pozwalające snuć najróżniejsze przypuszczenia. Nareszcie przyszła wiadomość urzędowa o dokonanej sekcji. Przyczyna śmierci: zatrucie.

Pogrzeb odbył się w asystencji wojskowej, a mimoto wybuchła rewolta i było pięciu zabitych. Następnego dnia nowe, ostrzejsze zarządzenia i dalszych dwóch zabitych.

Nad Guyaną wiszą ciężkie czarne chmury i układają się w wydłużony, uśmiechnięty, do końskiego podobny profil ludzkiej twarzy.

(Paryż). E. J.

Warunki pracy dziennikarzy

Międzynarodowe Biuro Pracy ogłosi w najbliższej przyszłości studjum o warunkach pracy dziennikarzy, podjęte na żądanie Międzynarodowego Zrzeszenia Dziennikarzy, czynnych przy Lidze Narodów. Studjum to oświetli przedewszystkiem rolę odgrywaną przez prasę oraz stały jej rozrost we wszystkich państwach.

Liczba dzienników i tygodników wychodzących w 1926 roku wynosiła w Niemczech — 8.121, w Belgji — 1,100, w Kanadzie — 1.500, w Hiszpanji — przeszło 2.000. W Danji ukazuje się obok 750 czasopism — 320 dzienników o łącznym nakładzie — 1.100.000 egzemplarzy, co oznaza, że jeden dziennik wypada na trzech mieszkańców. W Stanach Zjednoczonych było w 1920 r. — 2.400 dzienników i 14,800 tygodników, a nakład ogólny dzienników wzrósł z 28,700,000 do 35,700,000 od roku 1914—1923. W tym samym roku zatrudnionych było przy wyżej wspomnianych dziennikach przeszło 230,000 pracowników.

We Francji rozrost prasy przedstawia się w sposób podobny i w samym Paryżu wychodzi ponad 100 dzienników, z których znaczna część posiada przeszło 1,500,000 egzemplarzy nakładu.

W Anglji ukazuje się 2400 dzienników, z których jeden bije przeszło 1,000,000 egzemplarzy. Liczba perjodycznych wydawnictw wynosiła w 1920 r. we Włoszech i w Holandji przeszło 1,000, w Japonji przeszło 3,000, w Polsce przeszło 5,000, w Czechosłowacji — 2.000,

W ciągu ostatnich lat dziennikarstwo zostało zreorganizowane i poddane metodom pracy, które dawniej stosowane były tylko w przemyśle. Tłumaczy się to tem, że dzienniki stają się z każdym rokiem większemi przedsiębiorstwami finansowemi, osiągającemi olbrzymie nieraz obroty. Obliczono, że ogłoszenia przyniosły w Stanach Zjednoczonych w ciągu roku 1925 około 750,000,000 dolarów, a roczne koszty wydawania dzienników angielskich wyniosły w roku 1926 przeszło 1 i pół miljarda franków złotych.

Oparcie wydawnictw na olbrzymich nieraz kapitałach wpłynąć musiało w sposób zasadniczy na warunki pracy w dziennikarstwie.

Rozrost pracy z jednej strony, a kryzys jaki zapanował wszędzie wśród pracowników umysłowych po wojnie światowej, — oto dwa czynniki, które w sposób zasadniczy wpłynęły na kształtowanie się warunków pracy dziennikarzy w ciągu ostatnich lat. Międzynarodowe Biuro Pracy postawiło sobie za cel zbadać szczegółowo położenie dziennikarzy i przeprowadziło na ten temat ankietę zapomocą związków zawodowych dziennikarzy istniejących w poszczególnych państwach. Studjum Międzynarodowego Biura Pracy bada w szczególności materjalne i moralne warunki pracy dziennikarzy, stan rynku pracy w tej dziedzinie, stan przepisów ochronnych, którym dziennikarze podlegają w poszczególnych państwach. Niektóre z tych kwestyj, jak sprawa spoczynku niedzielnego, jak sprawa rozwiązania umowy pracy z dziennikarzem itp. nadają się w szczególności do traktowania ich z międzynarodowego punktu widzenia. „Komisja doradcza do spraw pracowników umysłowych“, która świeżo utworzona została przy Międzynarodowem Biurze Pracy, powołana będzie w szczególności do zajęcia się tem zagadnieniem, co daje gwarancję dziennikarzom wszystkich państw, że żądania ich będą w należyty sposób przedstawione na terenie genewskim.

Tortura chińska

Pisarz niemiecki, Walter Rode, opowiada zabawną przygodę, jaką miał w czasie podróży:

Była godzina ósma wieczorem, gdy tuż przed sygnałem odjazdu, wsiadłem do pociągu pośpiesznego, odchodzącego z paryskiego dworca wschodniego do Bukaresztu. W przedziale siedziało już czterech panów.

Na mojej ławce, pod oknem, siedział młody Francuz. Wysunął pulpit pod oknem i położył na nim kilka książek i kajet. Na przeciwnej ławce siedziało trzech Węgrów: wszyscy byli widocznie w świetnych humorach i głośno rozprawiali w swojej ojczystej mowie.

Młody Francuz nie zwracał uwagi na swoich towarzyszy podróży. Zagłębił się w czytaniu i pilnie robił notatki w kajecie. Obserwowałem go uważnie.

„To musi być jakiś młody uczony“—pomyślałem. Takiego skupienia nie widziałem jeszcze.

Młody uczony całą duszą tkwił w swojej lekturze. Zdawało się, że pożera książkę. I chyba nigdy nie zapomni tego, co tam wyczytał. Węgrzy tymczasem rozprawiali, sprzeczali się, śmiali, chichotali. Młody Francuz jakby nic nie słyszał. Miał piękną męską głowę, a oczy patrzały jakby w jakieś oddalone światy. „Dziwny typ“ — mówiłem w duchu — „takim musiał sobie Renan wyobrażać młodego Fustel'a des Coulanges“. Byłem naprawdę zadowolony, widząc tyle koncentracji i tyle myśli u przedstawiciela narodu kupców i handlarzy.

Naraz niepokój ogarnął Francuza. Zamknął swoją książkę, po chwili otworzył ją znowu, potem znów ją odłożył. Spoglądał przytem co chwilę na madziarów. Po chwili zatkał sobie uszy palcami. Widocznie nic nie pomagało. Skupienie prysło. Głośne rozmowy sąsiadów zburzyły jego naukową kontemplację. O jedenastej młody uczony wstał ze swego miejsca i nie zwracając uwagi na nikogo nacisnął guzik od elektrycznego oświetlenia, zaciemniając przedział. Potem usiadł zpowrotem i zamknął oczy.

Madziarzy zdębieli. Na chwilę zapanowała cisza, ale tylko na chwilę. Po chwili odzyskali mowę i potok madziarskich dźwięków na nowo zaczął huczeć w przedziale. Najpierw słychać było tylko szum przyciszony, później huczało, jakby strzelano z karabinów maszynowych.

Młody Francuz poruszył się niecierpliwie, potem przysunął się do mnie, który przez cały czas siedziałem spokojnie w swoim kącie i zapytał szeptem: „Jakim językiem mówią ci ludzie?“

— „Po węgiersku“ — odpowiedziałem.

Francuz przyjął moją informację bez słowa i odsunął się zpowrotem na swoje miejsce. Nie próbował już jednak zasnąć. Widziałem jak przez szybę spoglądał w ciemną dal.

Wreszcie poruszył się, jakby chciał przemówić. I zaczął:

„Messieurs“.

Węgrzy spojrzeli na niego — widać było, że rozumieją po francusku. Francuz mówił dalej:

„Panowe! W Chinach, które są krajem dalekiego wschodu, panuje zwyczaj, że skazanych na śmierć traci się w ten sposób, iż odbiera im się sen. Oprawcy otaczają delikwenta i starają się o to, aby czuwał na śmierć. Czynią to w ten sposób, że czynią dookoła niego denerwujący hałas. Ostatnio oprawcy chińscy uczynili pewne odkrycie. Mianowicie odkryli, że nic nie sprowadza tak szybko śmierci na skazańca, jak umieszczenie go w zamkniętej celi i prowadzenie w niej głośnej rozmowy w języku węgierskim. Ponieważ jestem człowiekiem uczciwym i niczem nie zasłużyłem sobie na karę śmierci, błagam panów, byście zechcieli darować mi życie“.

Francuz skończył swoje przemówienie. Zapanowała absolutna cisza. Po kwadransie rozległo się straszliwe chrapanie: zemsta madziarów, którym nie pozwolono mówić.

Co sądzi Shaw o Ameryce

Czasopismo angielskie „The Nation“ publikuje następujący list niejakiego Daniela Archera z New-Yorku:

„Dnia 5 czerwca napisałem do B. Shawa, zawiadamiając go, że zamierzam założyć w N. Yorku towarzystwo pod nazwą „Towarzystwo im. Shawa“. Towarzystwo to miało być miejscem zebrań dla ludzi umysłowo zdrowych. Prosiłem Shawa, aby zechciał przyjąć honorową prezesurę tego towarzystwa i napisałem mu, że stanowczo więcej czasu poświęca się na fabrykowanie szczudeł dla kalek niż drogowskazów i pochodni dla zdrowych, aby im umożliwić znalezienie właściwej drogi. Słusznem jest, że dla chorych umysłowo buduje się szpitale i zakłady, ale dlaczegóż nie robi się nic dla zdrowych? Od pana — panie Shaw — zależy, aby poprzeć pierwsze takie usiłowanie i przyczynić się do uszlachetnienia zdrowych“ — nadmieniłem w końcu mego listu.

Po pewnym czasie otrzymałem odpowiedź, podpisaną przez p. Blanche Patch, sekretarkę Shawa. Oto ona:

„W odpowiedzi na list pański z dnia 5-go czerwca polecił mi p. B. Shaw zakomunikować panu, że jego zdaniem instytucja, poświęcona ludziom zdrowym na umyśle, w Ameryce niema racji bytu, gdyż stałaby pustą“.

Wydział Rejestru Handlowego

Sądu Okręgowego w Łodzi

Do rejestru Handlowego Sądu Okręgowego w Łodzi wniesiono następujące wpisy za Nr. Nr.:

Nr. 859/B. **„Przemysł Wełniany „Franciszek Kindermann“, Spółka Akcyjna“.** Celem spółki jest nabycie, prowadzenie i rozwinięcie przedsiębiorstwa, istniejącego w Łodzi od roku 1859 pod firmą „Manufaktura Wełniana Franciszek Kindermann“, oraz prowadzenie przemysłu fabrykacji wyrobów wełnianych i handlu temi wyrobami. Siedziba firmy mieści się przy ul. Andrzeja Nr. 12 w Łodzi. Kapitał zakładowy spółki określony został na 2,000,000 złotych, podzielonych na 4000 akcyj po 500 złotych każda. — Zarząd stanowią: Henryk Kindermann, Łódź, ul. Łąkowa 1, Paweł Kindermann, Łódź. ul. Aleje Kościuszki 53, Teodor-Rajnhold Kindermann, Łódź, ul. Andrzeja 12, Juljusz-Robert Kindermann, Łódź, ul. Piotrkowska 139 i Arno-Adolf Kindermann, Łódź, ul. Piotrkowska Nr. 151. Dyrektorem zarządzającym jest Artur Kindermann — Łódź, Łąkowa 1. Weksle i inne zobowiązania, czeki, pełnomocnictwa, umowy, akty hipoteczne i notarjalne podpisuje w imieniu spółki dwuch członków zarządu, względnie jeden członek zarządu z prokurentem, lub dyrektor zarządzający z jednym członkiem zarządu, lub prokurentem; korespondencję podpisuje jeden członek zarządu, lub dyrektor zarządzający. Do odbierania z poczty pieniędzy, przesyłek i dokumentów dostateczny jest jeden podpis członka zazrądu, dyrektora zarządzającego, lub prokurenta. — Spółka Akcyjna. Statut spółki został zatwierdzony przez Ministrów Przemysłu i Handlu, oraz Skarbu 26 kwietnia 1928 roku i ogłoszony w „Monitorze Polskim“ z dnia 11 maja 1928 roku Nr. 109. Czas trwania spółki nieograniczony.

Nr. 858/B. **„Łódzka Czesalnia i Przędzalnia Wełny, Spółka Akcyjna“.** Prowadzenie czesalni i przędzalni wełny. Firma rozpoczęła swoje czynności 27 czerwca 1928 roku. Siedzibą firmy jest Łódź, ulica Sienkiewicza 63. Kapitał zakładowy spółki określony został na 600,000 złotych, podiezlonych na 1.200 akcyj po 500 złotych każda. — Zarząd stanowią: Szmelke Pilicer, Łódź, ul. Narutowicza 12, Abram.Dawid Eisner, Łódź, ul. Narutowicza Nr. 24, Tobjasz Bialer, Łódź, ul. Kilińskiego 96 i Icek Eisner, Łódź, ul. Narutowicza 24. Wszelkie dokumenty, weksle, żyra na nich, epłnomocnictwa, umgwy, kontrakty, akty hipoteczne i notarjalne, czeki na rachunek bieżący, tudzież żądanie zwrotu sum z instytucyj kredytowych i administracyjnych podpisują dwaj członkowi zarządu pod pieczątką firmy. Za członka zarządu wszelkie powyższe dokumenty, z wyjątkiem samych akcyj podpisywać może prokurent łącznie z jednym członkiem zarządu. Prokurentów mianuje Zarząd w całym składzie. Wszelka zwykła korespondencja w imieniu spółki może być podpisana pod stemplem firmy przez jednego członka Zarządu, lub jeg ozastępcę. Do odbierania z poczty pieniędzy, posyłek i dokumentów dostateczny jest podpis jednego członka zarządu, lub uprawnionego zastępcy pod stemplem firmy. Dyrektorem zarządzającym jest Abram-Dawid Eisner, który ma prawo do zupełnie samodzielnego podpisywania w imieniu spółki, zarządzania interesami tejże. — Prokurentem firmy jest inżynier Bernard Kopeluz z prawem podpisywania łącznie z jednym z członków zarządu. Spółka Akcyjna. Statut spółki zatwierdzony został przez Ministrów Przemysłu i Handlu oraz Skarbu 31 maja 1928 roku i opubikowany w „Monitorze Polskim“ z dnia 2 czerwca 1928 roku za Nr. 142 Czas trwania spółki nieograniczony.

Nr. 13548/A. **„Kazimierz Wójcik“** — sklep spożywczy. Firma istnieje od 1-go lutego 1928 r. Łódź, ul. Nowo-Zarzewska 23. Właściciel firmy Kazimierz Wójcik, zam. w Łodzi, przy ul. Nowo-Zarzewskiej 23. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13549/A. **„Paulina Wolter“** — sklep spożywczy. Firma istnieje od 1916 r. Łódź, ul. Nowo-Zarzewska 24. Właścicielką firmy Paulina Wolter, Łódź, Nowo-Zarzewska 24. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 19645/A. **„Gustaw-Juljusz-Alfred Schmidt“** — sprzedaż wyrobów żelaznych, Łódź, ul. Nawrot 7. Właściciel firmy Gustaw-Juljusz-Alfred Schmidt, Łódź, ul. Nawrot 7. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13551/A. **„Moszek Weksler“** — zakład kąpielowy. Firma istnieje od 1920 r. Łódź, ul. Krucza Nr. 11. Właściciel firmy Moszek Wekaler, Łódź. Krucza 11. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13552/A. **„Gotlib Lange“** — cegielnia Żabieniec, gmina Radogoszcz. Właściciel firmy Gotlib Lange z Żabienca, gm. Radogoszcz. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13553/A. **„Władysław Wert“** — sprzedaż wędlin. Firma istnieje od 1927 r. Łódź, ul. Rzgow-

ska 56. Właściciel firmy Władysław Wert, Łódź, Rzgowska 56. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13554/A. **„Antoni Wiśniewski"** — sklep spożywczy. Firma istnieje od 1909 r., Łódź, Odyńca 13. Właściciel firmy Antoni Wiśniewski, Łódź, ul. Odyńca 13. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13555/A. **„Ruchla Kon"** — sprzedaż galanterji i materjałów piśmiennych. Firma istnieje od 1892 r., Łódź, ul. Pomorska 50. Właścicielka firmy Ruchla Kon, Łódź, ul. Pomorska 50. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13556/A. **„Władysław Zakrzewski"** — kwiaciarnia. Firma istnieje od 3 września 1927 r., Łódź, Rzgowska 52. Właściciel firmy Władysław Zakrzewski, Łódź, ul. Napiórkowskiego 146. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13557/A. **„Kasriel Szrajer"** — skład maszyn i narzędzi rolniczych. Firma istnieje od 1 lipca 1928 r., Tuszyn, ul. Łowicka, róg Sieradzkiej. Właściciel firmy: Kasriel Josek Szrajer, Łódź, ul. Piotrkowska 214. Na mocy aktu intercyzy z dnia 7 listopada 1927 r., zeznanego przed Notarjuszem Kahlem w Łodzi, ustalona została między właścicielem firmy i żoną jego Chawą wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 13558/A. **„Zanwel Tencer"** — hurtowa i detaliczna sprzedaż artykułów spożywczych i kolonjalnych. Firma istnieje od 4 stycznia 1928 r., Łódź, Stary Rynek 11. Właściciel firmy Zanwel Tencer, Łódź, ul. Brzezińska 3. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13559/A. **„Sprzedaż Manufaktury, wł. Łaja Kohn i Bajla Boraks".** Sprzedaż manufaktury. Firma istnieje od 17 kwietnia 1928 r., Łódź, ul. Nowomiejska 3. Właścicielami firmy są: Fajga-Łaja Kohn (Kamienna 1) i Bajla Boraks (Kamienna 1' — w Łodzi. Spółka firmowa. Czas trwania spółki trzyletni z automatycznem trzyletniem przedłużaniem. Zarząd należy do wspólniczek. Weksle i wszelkiego rodzaju zobowiązania, żyra, przekazy, czeki i pełnomocnictwa podpisują obie wspólniczki łącznie pod stemplem firmy. Natomiast każda ze wspólniczek samodzielnie ma prawo podpisywania korespondencyj i pokwitowań, oraz otrzymywania przekazów pieniężnych, towarów, przesyłek, ładunków i korespondecyj. Intercyz wspólniczki nie zawarły.

Nr. 13560/A. **„Josek Dorn i S-ka"** — Mechaniczny wyrób i sprzedaż kaszy, Łódź, ul. Łagiewnicka 4. Firma istnieje od 1 kwietnia 1928 r. Właściielami są Abram Josek Dorn (Żabia 15) i Mordka Grynbaum (Aleksandrowska 26) — obaj w Łodzi. Spółka firmowa. Czas trwania spółki roczny z automatycznem rocznem przedłużaniem. Zarząd należy do obydwóch wspólników. Wszelkie zobowiązania, weksle, żyra i przekazy podpisują wspólnicy łącznie pod stemplem firmowym. Natomiast każdy z nich samodzielnie ma prawo podpisywać korespondencję, rachunki, upoważnienia sądowe i pokwitowania z odbioru zwyczajnej i poleconej korespondencyj, przekazów pocztowych, listów pieniężnych i paczek. Intercyz wspólnicy nie zawarli.

Nr. 13561/A. **„Bernard Horowicz i S-ka"** — przędzalnia zarobkowa, Łódź, ul. Zachodnia 70. Firma istnieje od 11 stycznia 1928 roku. Właścicielami są: Szyja Szafir, Szkolna 12, Mordka Szternfeld, Kilińskiego 23 i Berek Horowicz, Zakątna 21 — wszyscy w Łodzi. Spółka firmowa. Czas trwania spółki określony został do 31 grudnia 1928 r. z automatycznem rocznem przedłużaniem. Zarząd należy do wszystkich wspólników. Weksle, czeki, kontrakty, wszelkiego rodzaju zobowiązania, pełnomocnictwa i dokumenty, zawierające jakiekolwiekbądź zobowiązanie, podpisują Berek Horowicz łącznie z Mordką Szternfeldem, albo Mordka Szternfeld z Szyją Szafirem. Natomiast każdy ze wspólników samodzielnie ma prawo odbierać dla spółki pieniądze, listy zwyczajne, polecone, pieniądze, przekazy, posyłki, towary i ładunki. Intercyz wspólnicy nie zawarli.

Nr. 13562/A. **„Bracia L. i R. Glicensztajn"** — sprzedaż towarów włókienniczych, Łódź, ul. Piotrkowska 28. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 r. Właścicielami są: Lajzer Glicensztajn, Łódź, ul. Zielona 33 i Rafał Glicensztajn — majątek Niechmielów, pow. Sieradzkiego. Spółka firmowa. Czas trwania spółki określony został do 31 grudnia 1929 roku z automatycznem rocznem przedłużaniem. Zarząd należy do obydwóch wspólników. Wszelkiego rodzaju umowy, kontrakty, weksle, żyra na wekslach i inne zobowiązania podpisują wspólnicy, łącznie pod stemplem firmowym. Natomiast każdy z nich samodzielnie ma prawo do podpisywania korespondencji, nie zawierającej treści zobowiązań, podnoszenia wszelkich należności, przypadających spółce, tudzież podpisywania czeków, otrzymywania ładunków, przesyłek i towarów, wszelkiego rodzaju korespondencyj, posyłek i pieniędzy, oraz prowadzenie spraw sądowych i udzielania pełnomocnictw adwokatom. Na mocy aktu intercyzy z dnia 23 lutego 1927 roku Nr. N. R. 952, zeznanego przed Notarjuszem Krzemieniewskim w Łodzi między Lajzerem Glicensztajnem i żoną jego Machlą-Dwojrą i na mocy aktu z dnia 6 grudnia 1920 roku z aNr. 871, zeznanego przed Notarjuszem Rudnickim w Warszawie między Rafałem Glicensztajnem i żoną jego Baszą, ustalona została wyłączność majątku i wsplność dorobku.

Nr. 13563/A. **„Juda Brzeziński"** — roboty instalacji elektrycznej. Firma istnieje od 1 lipca 1928 r., Łódź, ul. Brzezińska 11. Właścicielem jest Juda Brzeziński, zam. przy ul. Brzezińskiej Nr. 11 w Łodzi. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13564/A. **„Jan Cadryk i Hugo Sznajder".** Wytwórnia luster, oraz prowadzenie wszelkich robót szklarskich, szklarni i stolarni. Firma istnieje od 22 maja 1928 r., Łódź, ul. Piotrkowska 255. Właścicielami są: Hugo Sznajder, Łódź, ul. Andrzeja 11 i Jan Candryk, Łódź, ul. Piotrkowska 255. Spółka firmowa. Czas trwania spółki określony został do 31 grudnia 1932 r. z automatycznem pięcioletniem przedłużaniem. Zarząd należy do obydwóch wspólników. Weksle, żyra (indosy), wszelkie zobowiązania, umowy, rachunki, prokury, oraz akty notarjalne i hipoteczne podpisują wspólnicy łącznie. Natomiast każdy z nich samodzielnie ma prawo podpisywać czeki, korespondencję, nie zawierającą zobowiązań, otrzymywać korespondencję zwyczajną i poleconą, paczki, przesyłki i wszelkie bagaże i towary, podpisywać podania, otrzymywać dokumenty i prowadzić sprawy sądowe i do prowadzenia tych spraw upoważniać adwokatów. Wszelkie pisma i dokumenty w sprawach spółki, za wyjątkiem aktów notarjalnych i hipotecznych, winny być podpisywane pod stemplem firmy. Intercyz wspólnicy nie zawarli.

Nr. 13565/A. **„Cela Szulman"** — bióro próśb i przepisywania na maszynie. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 roku ,Łódź, ul. Piotrkowska 60. Właścicielką jest Cela Szulman, zam. przy ul. Piotrkowskiej Nr. 60 w Łodzi. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13566/A. **„Władysław Kopczyński"** — skład węgla i drzewa z bocznicą własną. Firma istnieje od 1 listopada 1927 roku, ul. Kolejowa 4. Właścicielem jest Władysław Kopczyński, zam. przy ul. Głównej 32 w Łodzi. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13567/A. **„Rozberg i Horowicz"** kupno i sprzedaż przefasonowanych kapeluszy męskich. Firma istnieje od 1924 r., Łódź, ul. Piotrkowska 58. Właścicielami są: Mordka Horowicz, Łódź, ul. Piotrkowska 58 i Abram-Sucher Rozberg, Łódź, ul. Piotrkowska 58. Spółka firmowa. Czas trwania spółki nieograniczony. Zarząd spółki należy do obydwóch wspólników. Weksle, żyra na wekslach, akty notarjalne, hipoteczne, pełnomocnictwa, jak również wszelkie zobowiązania podpisują obaj wspólnicy pod stemplem firmy. Natomiast każdy z nich samodzilenie ma prawo odbierania wszelkiego rodzaju korespondencji, listów wartościowych, przekazów pieniężnych, posyłek, towarów, sum z banków i instytucyj kredytowych i państwowych. Intercyz wspólnicy nie zawarli.

Nr. 13568/A. **„Szufman i Cwillich"** — wyrób i sprzedaż mebli. Firma istnieje od 1 lipca 1928 roku, Łódź, ul. Wschodnia 64. Właścicielami są: Majlech Szufman, Łódź, ul. Wschodnia 64 i Izrael-Jakób Cwillich, Łódź, ul. Prezydenta Narutowicza Nr. 11. Spółka firmowa. Czas trwania spółki roczny z automatycznem rocznem przedłużaniem. Wszelkie zobowiązania w imieniu firmy, jako to: weksle, czeki, akcepty, podpisują obaj wspólnicy łącznie pod stemplem firmy. Natomiast każdy z nich uprawniony jest do samodzielnego podnoszenia pieniędzy, odbioru towarów, transportów, paczek, korespondencji zwyczajnej i poleconej i do wydania adwokatom, względnie innym osobom pełnomocnictw. Intercyz wspólnicy nie zawarli.

Nr. 13569/A. **„Łódzka Fabryka Pluszu i Dywanów" „Polplusz",** wł. Albert Semler i Bracia Matz. Firma istnieje od 24 czerwca 1928 r., Łódź, ul. Kopernika 36. Właścicielami firmy są: Albert-Waldemar Semler, Łódź, ul. Modra 3, Fryderyk Matz — Bydgoszcz, ul. Piotra Skargi 6 i Rajnhold Matz, Łódź, ul. Wschodnia 67. Spółka firmowa. Czas trwania spółki nieograniczony. Zarząd spółki stanowią wszyscy wspólnicy. Zobowiązania w imieniu spółki podpisują dwaj wspólnicy pod stemplem firmy łącznie. Natomiast każdy ze wspólników samodzielnie ma prawo podpisywać korespondencję, otrzymywać takową i odbierać wszelkie przesyłki pocztowe i kolejowe. Intercyz wspólnicy nie zawarli.

Nr. 13570/A. **„Rojtenberg i Cukier'** — wyrób i sprzedaż pończoch. Firma istnieje od 1 lipca 1928 r., Łódź, ul. Jakuba 8. Właścicielami są: Hersz Majer Rojtenberg, ul. Jakuba 8 i Berek Cukier, Łódź, ul. Franciszkańska 9. Spółka firmowa. Czas trwania spółki nieograniczony. Weksle, żyra na wekslach, akty notarjalne i hipoteczne, pełnomocnictwa i wogóle wszelkie zobowiązania podpisuje pod stemplem firmy Hersz-Majer Rajtenberg, który jest również uprawniony do odbierania korespodencyj zwyczajnej i poleconej, aktów wartościowych, przekazów pieniężnych i przesyłek, sum z banków i instytucyj kredytowych i państwowych, oraz osób prywatnych. Intercyz wspólnicy nie zawarli.

Nr. 13571/A. **„Kinoteatr „Apollo"** — Bronisław Kowalewski i Jerzy Stobiecki. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 r., Łódź, ul. Konstantynowska 16. Właścicielami są: Bronisław Kowalewski, Łódź, ul. Konstantynowska 32 i Jerzy-Franciszek-Salezy-Bogdan Stobiecki, Łódź, ul. Główna 32. Spółka firmowa. Czas trwania spółki określony został do 15 grudnia 1929 r. Zarząd należy do obydwóch wspólników. Wszelkie zobowiązania i umowy, oraz weksle podpisują obaj wspólnicy łącznie pod stemplem firmy. Intercyz wspólnicy nie zawarli.

Nr. 13572/A. **„Towarzystwo Przemysłowe I. Ettingin, N. Abramowicz i S-ka",** — wyrabianie towarów jedwabnych i kamgarnowych. Firma istnieje od 1 czerwca 1928 r. Siedziba firmy mieści się przy ul. Piotrkowskiej 66 w Łodzi. Właściciele: Jakub Ettingin z Warszawy, ul. Warecka 9, Naum Abramowicz z Łodzi, ul. Cegielniana 2 i Jakub Salomon z Łodzi, ulica Sienkiewicza 4. Spółka firmowa. Czas trwania spółki określony został do 31 grudnia 1929 r. z automatycznem rocznem przedłużaniem. Zarząd należy do Ettingina i Abramowicza, a Salomon jest zastępcą zarządcy. Weksle i wogóle wszelkie zobowiązania, jak również i wszelkie umowy, zamówienia, akty urzędowe i pełnomocnictwa w imieniu spółki podpisuje Jakub Ettingin bezwzględnie łącznie z Naumem Abramowiczem, podpis którego może być zastępowany przez podpis Jakuba Salomona. Żyro na wekslach dokonane być może również i w sposób wyżej wskazany; zamówienia na surowce, oraz umowy, dotyczące sprzedaży towarów, podpisują łącznie Abramowicz i Salomon. Natomiast każdy ze wspólników ma prawo samodzielnie podpisywać w imieniu spółki rachunki, korespondencje i pokwitowania, odbierać korespondencję zwyczajną, poleconą i pieniężną, pieniądze za przekazami, przesyłki i towary. Intercyz wspólnicy nie zawarli.

Nr. 13573/A. **„Juljusz Jelinek"** — sprzedaż płócienek. Firma istnieje od 1 lipca 1927 r., Łódź, ul. Piotrkowska 121. Właściciel firmy Juljusz Jelinek, Łódź, Piotrkowska 121. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13574/A. **„Marja Lenk"** — sprzedaż wyrobów tytuniowych, materjałów piśmiennych i wody sądowej. Firma istnieje od 1918 r., Łódź, Sienkiewicza 25. Właścicielka Marja Lenk, zam. przy ul. Sienkiewicza Nr. 25. Intercyzy nie zawarła.

Nr, 13575/A. **„Marjan Tykociner"** — właściciel Azriel-Majer Tykociner. Zarobkowa wykończalnia bawełniana. Firma istnieje od 1900 r., Łódź, Sienkiewicza 10. Właściciel firmy Azriel-Majer Tykociner, zam. w Łodzi, ul. Narutowicza 32. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13576/A. **„Moszek Lam"** — sklep rzeźniczy. Firma istnieje od 1919 roku, Łódź, ul. Składowa 25. Właściciel Moszek Lam, zamieszkały w Łodzi, Składowa 25. Intercyzy nie zawarł.

13577/A. **„Abram Wygodny"** — piwiarnia. Firma istnieje od 1919 r., Łódź, ul. Kilińskiego 73. Właściciel Abram Wygodny, zamieszkały w Łodzi, ul. Kilińskiego Nr. 73. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13578/A. **„Izrael Weisbrot"** — drobna sprzedaż artykułów spożywczych. Firma istnieje od 1917 r., Łódź, ul. Sienkiewicza Nr. 2. Właściciel Izrael Weisbrot, Łódź, ul. Sienkiewicza 2. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13579/A. **„Feliks Wilczyński"** — sklep spożywczo-kolonjalny. Firma istnieje od 1928 r., Łódź, Odyńca Nr. 3. Właściciel Feliks Wilczyński, Łódź, ul. Odyńca 3. Intercyzy nie zawarł.

Redakcja i Administracja w Łodzi
ul. Piotrkowska Nr. 85. Telefon Nr. 45-50

Ceny ogłoszeń: Strona ogłoszeniowa dzieli się na 4 szpalty. Ogłoszenia zwyczajne 25 groszy za 1 milimetr wysokości w jednej szpalcie. Ogłoszenia w tekście 40 groszy za milimetr wysokości w jednej szpalcie. Drobne 10 groszy za wyraz.

Redaktor i wydawca: *Paweł Zielina.*

Odbito w Drukarni Piotrkowska 85. 62228